Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Św. Hubert Autolinoryt Leli Pawlikowskiej z Medyki, 1936. Fot. ze zbiorów kpt. Józefa Wł. Kobylańskiego.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 31 (843) 1 LISTOPADA 1936 R.



P. Janusz Regulski z wieńcami dwudziestaka, ubitego 18.IX. 1936 r. w Sołotwinie Mizuńskiej, w Karpatach. W głębi: gen. dyw. K. Fabrycy, prof. dr. Szarecki, gen. bryg. Regulski i nadl. Dziuba.

NA DZIEŃ ŚW. HUBERTA.

Pierwszy kontakt z przyrodą, pierwsza pieszczota matczyna, na jej kojącem łonie prześniona, poważne trofea: wróbelek, trznadel, szpaczek, sroczka lub sójka — pod świętą egidą naszego Patrona zdobyte — bądźcie błogosławione!...

Bezwiednie, nie uprzytomniając sobie jeszcze komu zawdzięczamy całą potęgę atawistycznych oczarowań łowieckich, niewtajemniczeni w glorję Jego Imienia, już w zaraniu życia świętego Huberta kochamy!...

Później idą lata młodości złotej!... Płynie cykl podniosłych rozkoszy — w roztoczy pełni sił życiowych!... Cały impet nastrojów, ściśle tak z „giovinezzą" związanych.

Niejedna miłość doczesna nabrzmiewa w sercu, rozkwita kwieciem wspaniałej orchidei, lub krystalizuje się w fatamorganie bolesnych złudzeń w trwały kwiatuszek ukochania dla św. Huberta.

I ten wiecznym już pozostanie.

...A łzy ludzkie wód potokiem do oceanów bezgranicznych nieubłaganie płyną...

Wypada „milczeć, cierpieć i wojować — i niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować".

Biedny robak ludzki do rzewa w cierpieniach, znojach, w srogich życia zmaganiach.

Niejedna gwiazda przewodnia na zawsze mu gaśnie...

Atoli miłość dla św. Huberta zawsze żywą zostaje. I trwa pociechą w mrokach czasów przebolałych, nadzieją, „rogiem złotym" radości venatorskich — szczodrze szafowanych.

Lecz parabola żywota na „zachód" już skłaniać się poczyna. Piasek „klepsydry" dni krótkotrwałych nieubłaganie się wysypuje, wahadło zegara czasów tykaniem swem charakterystycznem: „tak - nie, tak nie"... już niestety na tem „nie" wkrótce się zatrzyma...

Zaiste, każda godzina nas rani, ostatnia — zabija!

Jednakże, nie zważając na smutne horoskopy, łowiecka pasja, przywiązanie do natury zawsze równym zniczem płoną... Miłość kultu św. Huberta wciąż żyje!

Szron siwizny — koło udręk, nieraz fizycznych, barki myśliwca granitu bryłą do Matki-ziemi przygniatają!

Już tętent krwi gorącej zanikł w wielu, „zblakował" gruntownie u wszystkich!...

Urocza Julja marną pociechę miałaby z podobnego Romea! No i nietylko Dżulietta!... Została modnie „zredukowaną" niejedna przyjemność tych „*petites joies de la vie*" — niejedno upodobanie!

A dusza myśliwego rwie się do gotyku pni leśnych, królewskim hejnałem głuszca, bełkotem cietrzewi, ciągiem tajemniczych słonek, kaczorów lubieżnych

zalotami, na obszarach starego Polesia od wieków rozmodlonych.

...Do tych przełęczy górskich, kędy płynie ryk potężnego mocarza — jelenia, do łoźniaków puszcz podmokłych, z których płynąca symofonja wabu łosia dreszczami pożądań łowieckich psyche myśliwca w słodki raj pogrąża.

A chociaż już tylko jako „*honorationes*" na podjazd rogaczy, do stanowisk słonczych, do stadka kur wystawionego, do „kosza" w lesie, na zajączki — linijką, bracie miły, zostałeś podwieziony, „doholowany" — i nanowo wżyłeś się w przedziwną muzykę wszechstworza — szczęśliw jesteś!



Św. Hubert, obraz pendzla Jerzego Kossaka. Własność dra J. Łukowicza z Chojnic
(Do artykułu „Orędownik kultu św. Huberta" na str. 597).

Krzyż ognisty św. Huberta — taksamo przyświecać Ci będzie!... Lub *horribile dictu*, jeśli nie możesz już wcale polować, to natenczas żyć będziesz w nimbie rojów czarownych wspomnień, przysłuchując się wśród męczących dla Ciebie wiosennych nocy tykaniu żuczka drzewnego — jak o tem pisze Korsak — zachowasz jednak skarbiec tego, czego już nikt nigdy Ci nie wydrze!

Miłość dla św. Huberta wieczną jest!

Rzecz dziwna i godna uwagi!

Kiedy naokół wszystko tracić zaczyna swe barwy, najcudniejsze kwiaty więdną, złudzenia odlatują, intensywność integralnych odczuć w eter u przestworzach Bóg wie gdzie rozpylać się zaczyna, potencjonalna moc mentalności myśliwskiej nietylko nie słabnie, ale z ręką na sumieniu śmiało powiedzieć można — potęguje się.

I kto wie, czy w tajemniczych zaświatach Bóg miłosierny nie zlituje się nad nami, którzyśmy tak gorąco ukochali cały ten bezmiar piękna... tak doskonale rozumieliśmy dzika - brutala i niedźwiedzia-imperatora w świerczynach zaśnieżonych, koloryzację niebios i wód, i welon czarnej gwiaździstej nocy — narówni z szarugami jesieni — nawet ptaszyny nieznanej kwilenie.

A nadewszystko miłowaliśmy tego Orędownika, naszego św. Patrona, Ołtarzem Zbawienia którego godło Męki Pańskiej, jaśniejące w majestacie wieńca, objektu rycerskiej zabawy, co ludziom szlachetnym radości dodawa!...

Wznosimy Ci nasze dziękczynne ołtarze, święty Hubercie, z których najdroższy nam ten, co w sercach naszych myśliwskich — zawsze hołdem Ci pozostaje.

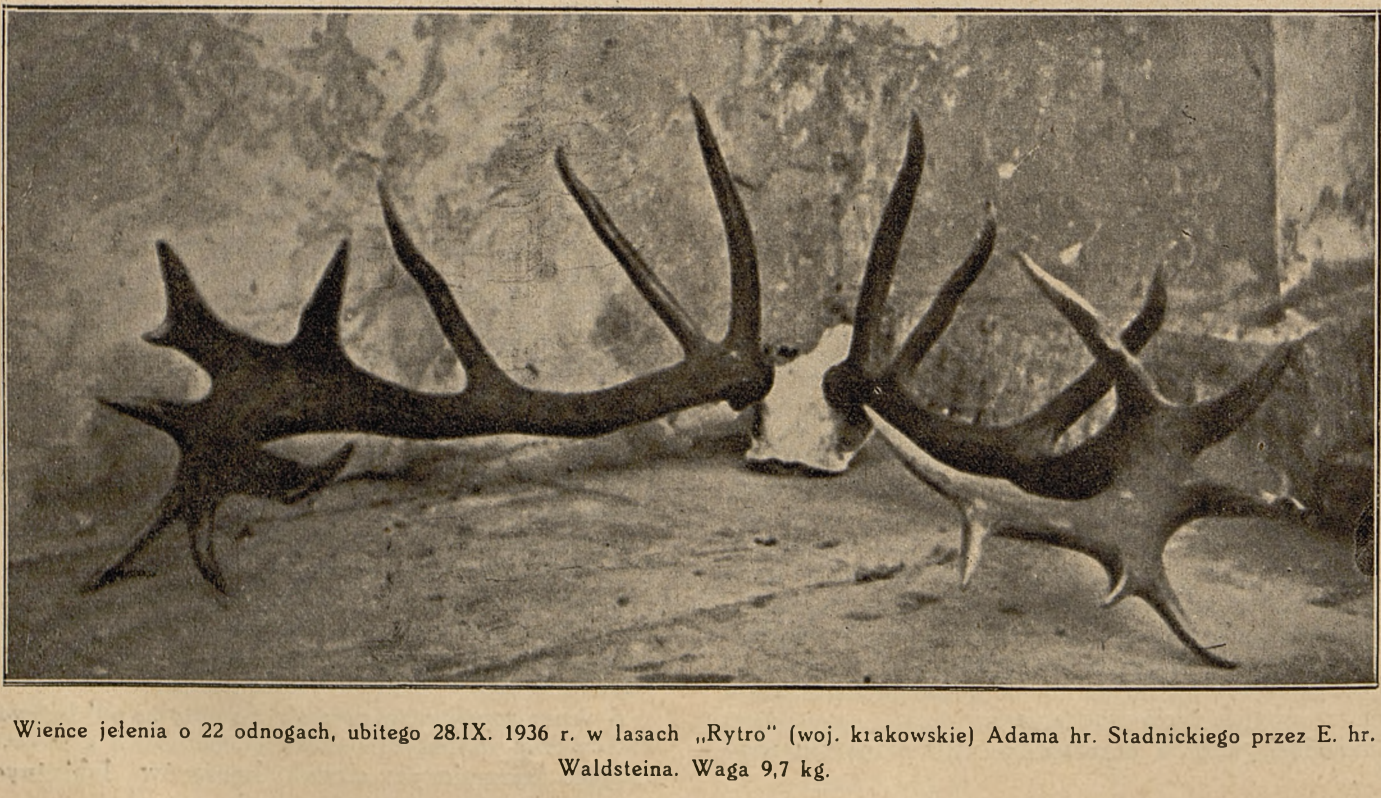
I gdy nas już dawno na świecie nie będzie, pod krzyżem nasza mogiła, na krzyżu rozpięta niejedna z naszych miłości ziemskich, *hommagium* nasze za zdrój łask Twych, za nastroje jedynych kryształowych, błogich stanów „dusz myśliwskich" nietylko nie zamrą, lecz w przyszłych pokoleniach, jak trawka Boża, jak pieśń wiosny odrodzenia ad aeternam, u stóp Twych kornie róż szkarłatem, szlakiem kultu Twego imienia umajać chwile nam będą.

Błogosławionem jest Twe imię, Szafarzu łask łowieckich, jako perła cenna, jako Golkonda łez szczęścia ludzkiego w umiłowanem Polski Odrodzonej łowiectwie, przepysznie tak skrystalizowanem.

W dniu dzisiejszym niech surmy *chorum* nas wszystkich *in secula seculorum* do Ciebie lecą!...

Św. Hubertowi cześć!

ADAM RZEWUSKI



Wieńce jelenia o 22 odnogach, ubitego 28.IX. 1936 r. w lasach „Rytro" (woj. krakowskie) Adama hr. Stadnickiego przez E. hr. Waldsteina. Waga 9,7 kg.

OREDOWNIK KULTU ŚW. HUBERTA.

Czasem się zdarza, że wśród nocy cieniu,
Gdy śpią myśliwi, — na gwiazdy promieniu,
Co bladem światłem z niebios sklepu świeci,
Patron łowiectwa między swoje dzieci,
Wierną czeladkę, zejdzie tu na ziemię,
By błogosławić to myśliwskie plemię;
Wtedy do wszystkich kolejno się zbliża,
Ręce nad głową uroczyście zniża
I błogosławi, — a w duchu się cieszy,
Że duch myśliwski panuje w tej rzeszy.
Ale ze śpiących nikt nie wie, nie słyszy,
Kto tu jest gościem pośród nocnej ciszy
I chyba dowód szczególniejszej łaski,
Jeśli niepewne przez sen ujrzy blaski
Świętego gościa — a jeśli powtarza
Innym nazajutrz, jeśli rzecz odtwarza,
Wtedy towarzysz uwierzyć się waha:
„To sen — zapewnia — albo mara błaha".

(Zygmunt Pietruski, Dzień Lisowczyka, Lwów 1887 r.)

Wielu mamy w Polsce wyznawców i wielbicieli kunsztu św. Huberta, wielu doń wzdycha i prosi o łaskę, o powodzenie w łowach, o jakąś niezapomnianą przygodę na tle przepięknej leśnej dekoracji, czy też oczeretowych ścian. Mimo to wśród praktykujących czcicieli Patrona bardzo mało znajdujemy takich myśliwych, którzyby dawali nieprzemijające rychło dowody kultu św. Huberta przez budowanie kapliczek ku Jego czci, stawianie figur w lasach, zamawianie u malarzy Jego obrazów, troszczenie się, by wśród dewocjonalii znalazły się też drobne, książeczkowe obrazki, lub medaliki ze św. Hubertem, sprawianie hubertowskich witraży do kościołów, chorągwi, a dalej breloków przy zegarkach, odznak Towarzystw Łowieckich z krzyżem św. Huberta wśród wieńca jelenia itp. A przecież za tę świątynię św. Huberta, którą jest przyroda ziemi naszej, za jej piękno i niepospolite bogactwo zwierzyny, które rycerzom z pod zielonego sztandaru św. Huberta daje bezmiar wrażeń i rozkoszy łowieckich, motywów i tematów do opowiadań przy bigosie myśliwskim, czy też czasem na łamach prasy łowieckiej — za to wszystko należałoby pomyśleć o jakimś zewnętrznym znaku czci św. Huberta. Niechby ten znak z daleka czy z bliska głosił, że to czciciel hubertowski, że to dom prawdziwego myśliwego, że to tu właśnie jest folwark czy domena pod wezwaniem św. Huberta.

Zbierając od dłuższego czasu dowody i wiadomości o najdrobniejszym nawet kulcie Patrona naszego, niechaj mi wolno będzie zatrzymać się przy osobie, otaczanej powszechnym szacunkiem, a znanej i zasłużonej wśród szerokich sfer społeczeństwa łowieckiego, w szczególności pomorskiego. Mam tu na myśli prawidłowego i wielce zasłużonego myśliwego Jana Sirwind-Łukowicza, doktora medycyny z Chojnic, członka Zarządu Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich oraz viceprezesa Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego w Toruniu.

W rodzinie Łukowiczów, żyjącej na Pomorzu od kilkuset lat, wszyscy, od pradziadów, kochali knieję i wszyscy oddawali widoczną cześć św. Hubertowi. W kulcie tym wzrastał też od najmłodszych lat nasz ideowy pracownik łowiecki, dr. Łukowicz. Z okazji dnia Patrona naszego pragnę wskazać szerokim warstwom społeczeństwa myśliwskiego zewnętrzne dowody czci św. Huberta, które zapewne przertwają — oby jak najdłuższy wiek — chojnickiego fundatora i przejdą na pokolenia.

W dniu 3 listopada 1931 r., jako w dniu św. Huberta, ufundował dr. Łukowicz „ku chwale Bożej i wdzięczności za doznaną łaskę i ku większej czci dla św. Huberta, Patrona myśliwych"[1]) artystycznie wykonany pomnik-krzyż w nadleśnictwie państwowym Klosnowo na Pomorzu (pow. Chojnice), na rozstaju siedmiu dróg, na miejscu zwanym „G w i a z d ą ś w. H u b e r t a". Pomnik ten składa się z figury (2.20 m) ułożonej z kamieni polnych i z dębowego krzyża (6 m) z wizerunkiem Zbawiciela. Na figurze kamiennej znajduje się płyta z wyrzeźbioną siedmioramienną gwiazdą, na której polu wyryta jest legendarna scena spotkania św. Huberta z jeleniem, mającym ognisty krzyż wśród wieńca. Pod gwiazdą widnieje napis *„Sanct Hubertus"*, a na odwrotnej stronie głazu imię i nazwisko projektodawcy-fundatora. Rzeźba wyszła z pracowni Jana Schulca z Chojnic, całość zaś wykonał Edward Nussbaumer z Chojnic.



Św. Hubert, płaskorzeźba — obecnie na kościele w Helu. Motyw rozwinięty podobnie, jak na pomniku-krzyżu w Klosnowie.

Na półwyspie Helu, na frontonie własnej murowanej willi pod wezwaniem św. Huberta, umieścił dr. Łukowicz płytę z piaskowca, wielkości 60 cm × 50 cm, również z widzeniem św. Huberta, zbliżonym bardzo swym ujęciem do sceny na omówionym wyżej pomniku-krzyżu. Całość projektował i wykonał warsztat rzeźbiarski M. Scharlowskiego w Toruniu. Rzeźba ta ma już swoją historię, bowiem po wywłaszczeniu willi w 1934 r. przez Ministerstwo Spraw Wojskowych na cele obrony polskiego wybrzeża i zburzenia jej, płytę tę ofiarował dr. Łukowicz kościołowi w Helu, gdzie też została wmurowana na zewnętrznej stronie, nad głównym wejściem.

Ten pasjonowany myśliwy pomorski i wielki czciciel św. Huberta dokonał w tym roku, w maju, cennej, oryginalnej i pierwszej tego rodzaju w Polsce fundacji. Ofiarował on bowiem do kaplicy szpitala św. Boromeusza w Chojnicach k i e l i c h ś w. H u b e r t a, na którym widnieje misternie wyrzeźbione widzenie św. Huberta oraz na podstawie łaciński napis,

[1]) Słowa wzięte z dokumentu przyjęcia pomnika od fundatora przez Dyrekcję Lasów Państwowych w Bydgoszczy.

głoszący, że kielich ten ufundowany został na pamiątkę 50-lecia (1886 — 1936) pracy fundatora i jego ojca jako lekarzy-dyrektorów szpitala św. Boromeusza w Chojnicach. Kielich wykonała firma W. Kruk w Poznaniu.



Kielich św. Huberta ofiarowany przez dra J. Łukowicza do kaplicy szpitala św. Boromeusza w Chojnicach.

Są jeszcze inne dowody, stwierdzające, że dr. Łukowicz jest niepospolitym czcicielem Niebieskiego Opiekuna łowiectwa. Z inicjatywy Jego, a przy poparciu rotmistrza 17 p. ułanów, Włodzimierza Klińskiego, uczczono dzień 3-go listopada 1934 r. biegiem myśliwskim i biegiem za lisem. Z placu koszarowego ruszyła kawalkada 16 jeźdźców aż pod pomnik św. Huberta, postawiony przez dr. Łukowicza w nadleśnictwie Klosnowo. I wówczas to, może pierwszy raz od niepamiętnych czasów, zadrgały lasy klosnowskie tętnem bujnego życia, cudnymi tonami hejnału łowieckiego, odegranego przez trębaczy wojskowych. Cwałem wpadła kawalkada z siedmiu rozstajnych dróg pod pomnik św. Huberta, gdzie w obecności całej rodziny Łukowiczów i przedstawicieli nadleśnictwa państwowego oddano przy dźwiękach hejnału myśliwskiego hołd Patronowi myśliwych. W krótkim przemówieniu wskazał dr. Łukowicz na ważność dnia i potrzebę podtrzymywania tradycji św. Huberta, szczególnie na wysuniętych rubieżach Rzeczypospolitej.

Od 1914 roku obchodzi dr. Łukowicz stale „Hubertusa" polowaniem i biesiadą, których tradycje na Pomorzu wkorzenione są w duszach myśliwych, przechodząc z ojca na syna. A wejdźmy teraz pod gościnny dach Łukowiczów. I tu patronuje św. Hubert, który z cennego, oryginalnego obrazu Jerzego Kossaka spogląda na zbiory i trofea myśliwskie Łukowiczów. Obraz ten jest żywy w kolorze i akcji; artysta — według mego zdania — ujmuje całą scenę myśliwską najnaturalniej, to jest tak, jak ona współcześnie najprawdopodobniej wyglądała: św. Hubert, pędzący na koniu za jeleniem, obok sfora psów, jeleń się odwraca, a z pośród jego rogów ukazuje się gorejący krzyż, na widok którego koń cofa się, św. Hubertowi wypada łuk z ręki, a psy uciekają strwożone tym niezwykłym zjawiskiem.

Oto wymowne wyrazy wdzięczności i kultu, złożone na ołtarzu św. Huberta przez wiernego rycerza myśliwskiego legjonu.

*

Opatrzność Boża nie poskąpiła nam czarującej przyrody; wyposażyła krainę Sarmatów w rozległe połacie lasów, urodzajne pola, łąki i mokradła, w sitowia i oczerety, a to wszystko jest ojczyzną zwierza i ptaka łownego, to królestwo św. Huberta.

Dzielnie sprawuje nasz Patron swe rządy, utrzymując bogaty zwierzostan, dając przez to polskiej dwururce czy też sztucerowi wiele poważnego zatrudnienia i to tak dalece, że bogactwem naszym nawet z gośćmi, którzy z dalekich krain do nas wędrują na jeden choćby strzał, dzielić się możemy.

Czcijmy więc naszego Dobroczyńcę i Patrona naszych bogatych i nęcących łowisk, bo zasłużył na naszą wdzięczność. Niechaj za przykładem wielkiego pomorskiego hołdownika św. Huberta mnożą się znaki czci dla tego świętego po całej krainie, a tym samym przysporzymy wielu rękom tak potrzebnej im dziś pracy. I powstaną nowe dzieła sztuki, rozpowszechni się kult Opiekuna sportu myśliwskiego, wyciśniemy zewnętrzne piętno, świadczące o wartości gospodarczej i piękności ojczystego myślistwa, utrwalimy po wsze czasy tradycję ojców i przekażemy ją pokoleniom, jako drogi spadek naszych szczerych i gorących uczuć, związanych dozgonnie z knieją naszą i jej mieszkańcami.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

P. S. Kochany Doktorze Łukowiczu! Przyjmij ode mnie, szaraczkowego brata w świętym Hubercie, niniejszy artykuł, który nie jest wypływem osobistej, zdawkowej — jak to często bywa — wdzięczności za zaproszenie na udałe polowanie, lub sutą kolację. Może kiedyś stanę przy Tobie na zielonym leśnym kobiercu, ze strzelbą w ręku, dziś jednak piszę, by dać upust potrzebie serca.

Przy tej okazji zwracam się do wszystkich Łaskawych Czytelników naszego kochanego Łowca Polskiego, propagatora prawidłowego myślistwa i kultu św. Huberta, aby byli łaskawi i donieśli mi (Warszawa 1, ul. Górnośląska 16 m. 38) o najdrobniejszym choćby dowodzie kultu św. Huberta.

J. WŁ. K.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na IV kwartał, lub na miesiąc listopad.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

CHIRURGJA MYŚLIWSKA.

O niezwykłych, wręcz cudotwórczych właściwościach leczniczych myślistwa możnaby napisać cały traktat myśliwsko-lekarski. Jeszcze w wieku 17-ym wojewoda poznański Jan z Ostroroga w dziele swem „Myślistwo z ogary" podkreślał higjeniczne znaczenie łowów, jako konserwujących „rzeźwość rycerską"... A w sto lat później Ignacy Krasicki tak pisał w swym „Panu Podstolim": — „Zysk z polowania największy a pewny — zdrowie; rzadko myśliwy lekarstwa bierze, praca ustawiczna, wstrzemięźliwość (?), myśl nakoniec wesoło zaprzątniona, nie daje ani okazji, ani czasu do choroby. Uprzedza często myśliwy wschód słońca, nie obciąża się więc snem zbytecznym, który pospolicie szkodliwych humorów w ciele ludzkim przyczynia, i krew gęści, agitacya przysparza mu apetytu i łatwą strawność sprawuje"...

Jeżeli o współczesnych autorów łowieckich chodzi, to któryż z nich nie śpiewał dytyrambów na cześć myślistwa, jako Wielkiego Lekarza? Czy mało naczytaliśmy się pochwał na temat „kojącego nerwy powietrza puszczy", „balsamicznych tchnień prastarych borów", „ucieczki na łono natury przed duszącą atmosferą miasta", „zapomnienia o szarpiących nerwy troskach codziennych"...

Jeżeli wnikniemy głębiej w te zachwyty i pochwały, to przekonamy się, że większość pisarzy łowieckich rozwodzi się nad myślistwem prawie wyłącznie pod kątem leczenia nerwów. Myślistwo, pobyt na łonie przyrody, łowy — nie są więc lekarstwem na wszystkie bez wyjątku dolegliwości ludzkie: żaden z myśliwych nie posunął się tak daleko, by twierdzić, że zapomocą myślistwa dałoby się zwalczyć raka, tyfus lub jaglicę... Wprawdzie niezapomnianej pamięci Juljan Ejsmond napisał raz jeden, że pobyt w wilgotnej puszczy na tokowisku wyleczył go z grypy — był to jednak fakt całkowicie odosobniony. Wszyscy inni autorzy podnoszą natomiast unisono profilaktyczno-higjeniczne, tudzież neuropatyczne właściwości myślistwa.

A jednak miałem w życiu wypadek, gdy jeden ranek, spędzony na tokowisku, uwolnił mnie od trwających tygodniami bolesnych zabiegów chirurgicznych. A jak to się stało — opowiem.

*

Przed dziesięciu laty oddawałem się namiętnie sportowi saneczkowania. W owych czasach, dość odległych, miasto nasze nie miało jeszcze porządnie, po europejsku urządzonych torów saneczkowych. Jechało się poprostu za Antokol, na t. zw. Mokrą Górę i tam, trasą ciągnącą się na 1 — $1^1/_2$ kilometra, zjeżdżało się wąską dróżką publiczną, wśród malowniczych wzgórz, porosłych borem, mijając nędzne domki przedmieścia i kończąc zjazd już na dość ożywionej ulicy, gdzie nietrudno było o spotkanie z przechodniem, furmanką, a nawet z taksówką. Po wypadku, który zdarzył się ze mną, policja zabroniła „dzikiego" saneczkowania z Mokrej Góry i dziś amatorzy tego sportu saneczkują gdzieindziej — po specjalnych, pięknie usypanych torach.

Wypadek mój był bardzo prosty. Zjeżdżając we dwoje w pełnym pędzie przez wąską szyję wąwozu i pragnąc wyminąć saneczki, które nam zatarasowały drogę, uderzyliśmy o ścianę wąwozu. Saneczki wyprysnęły w górę, a my przejechaliśmy kilkanaście metrów na własnych bokach po wypolerowanej powierzchni toru. Wypadek skończyłby się zapewne na śmiechu i na t. zw. ożywionej wymianie zdań, gdyby zły los nie ustawił po drodze dużego kamienia, prawie całkowicie przysypanego śniegiem. Właśnie o ten kamień uderzyłem zgiętem kolanem.

Rezultat: pęknięcie rzepki kolanowej (t. zw. „jabłka") i sześć tygodni leżenia w łóżku z nogą, ujętą w kamienny uścisk gipsu, od biodra do pięty.

*

Sześć tygodni „gipsu" minęło mi dość przyjemnie. Zacny, nieżyjący już dziś dr. M. pocieszał mnie, że mam „szczęście w nieszczęściu", gdyż rzepka kolanowa, pękając w kilku miejscach, nie wyskoczyła jednak z woreczka okostnej, co znakomicie ułatwiało kurację (na zdjęciu roentgenowskiem pęknięta rzepka wyglądała jak stłuczone, lecz trzymające się w obwódce szkło zegarka). Mili współtowarzysze łowów odwiedzali mnie codzienie, zabawiając ploteczkami i gawędami myśliwskiemi i współczując mi, że w pełni sezonu zimowego (styczeń) leżę przykuty do łóżka, zamiast słuchać gonu ogarów i kołatek naganiaczy. Słowem — tygodnie biegły szybko i upragniona chwila zdjęcia gipsu zbliżała się.

Jedna myśl tylko nie dawała mi spokoju i nieraz spędzała sen z powiek: czy będę mógł tej wiosny pojechać na głuszce? Zapytany w tej materji dr. M. pokiwał głową w sposób niezdecydowany:

— Za parę dni zdejmę panu gips i będzie pan mógł chodzić. Co innego jednak „chodzić", a co innego „skakać do głuszca". Marzenia o głuszcu niech pan lepiej odłoży do wiosny przyszłego roku.



Wieńce jelenia o 22 odnogach, ubitego 28.IX. 1936 r. w lasach „Rytro" (woj. krakowskie) Adama hr. Stadnickiego przez E. hr. Waldsteina. Waga 9,7 kg.

— Jakto, doktorze?! Mamy dopiero początek lutego, toki rozpoczną się za $1^1/_2$ — 2 miesiące... Czyżbym do tego czasu nie odzyskał pełnej władzy w nodze?

Lekarz zawahał się:

— Widzi pan: właściwie to dopiero do zdjęciu gipsu rozpocznie się prawdziwa kuracja. Po tak długim bezruchu nastąpiły zrosty — zesztywnienie... Trzeba będzie przejść dużo masażów, elektryzacyj i t. d. zanim zdołamy nogę „rozkiwać".

Zasępiłem się nie na żarty. Myślałem dotąd naiwnie, że zaraz po zdjęciu gipsu wyskoczę z łóżka, jak

młody bóg, tymczasem czekały mnie jeszcze jakieś bliżej nieznane masaże i elektryzacje...

*

Nieraz zastanawiałem się nad obłudną perwersyjnością terminów lekarskich. Lekarz nie wyrywa zęba, lecz go „usuwa", nie odcina ręki, lecz wykonuje „zabieg chirurgiczny"...



Z rykowiska w Karpatach. Fot. K. Landsberg.

Tej perwersyjności doznałem na własnej skórze, gdy przekonałem się, co naprawdę kryje się pod niewinnem słowem „masaż". Trzeba wiedzieć, że po zdjęciu gipsu noga moja przedstawiała widok godny pożałowania. Zginała się w kolanie pod kątem najwyżej 2° stopni i dalej ani rusz, jakby była z kamienia, a nie z żywego mięsa, kości i skóry... Otóż dla jej „rozkiwania" konieczne były masaże. Seans masażu odbywał się w sposób następujący. Sadzano mnie na wysokim stole operacyjnym, przyczem zdrowa noga zwisała swobodnie, a chora — sterczała, martwa i sztywna, jak sucha żerdź... Atletycznej budowy felczer ujmował mnie z tyłu oburącz za biodra, a „poczciwy" doktór zaczynał rozmowę na tematy ogólne: a co słychać w mieście, a czy byłem w teatrze na ostaniej sztuce, a ile wilków zabiłem w życiu...

W trakcie tej konwersacji lewa ręka doktora gładziła sztywne udo chorej nogi, a prawa ściskała tę nogę w kostce:

— Niech się pan nie boi: nie będzie bolało... Będę kiwał tylko aż do oporu... Tak!... Raz, dwa — raz, dwa... Proszę się nie bać... Jakiej firmy ma pan dubeltówkę?

— Aaaa!!!

— Dziękuję, już po wszystkiem.

Po takim seansie, kończącym się sekundą tak piekielnego bólu, jak gdyby w biednem kolanie mojem ścięgna rwały się na strzępy, miałem nogę „rozkiwaną" zaledwie o pół stopnia więcej.

— Źle — marszczył się doktór — jeżeli w dalszym ciągu będzie się pan zachowywał, jak nerwowa baba, to zmuszony będę „łamać" panu zrosty pod narkozą....

*

Narkoza przyszła w sposób nieoczekiwany. Dostałem krótką depeszę: „głuszce grają, przyjeżdżaj"... Zawahałem się. W okresie tym miałem sztywną nogę, „rozkiwaną" zaledwie do plus minus 45° stopni.

Z taką nogą mogłem chodzić dość swobodnie po równej drodze, lecz już na schodach poruszałem się z nogą sztywną, t. j. zginając tylko jedną nogę. O bieganiu i skakaniu nie było, naturalnie, mowy. Zamyśliłem się poważnie. Teren, dokąd mnie zapraszano, znałem dobrze: 2 czy 3 kilometry śliskich kładek, a późniei tokowisko na podmokłym mszarze — całe w kępach, leżaninie i łozach. Z dwiema najzdrowszemi nogami trzeba się tam dobrze napracować, zanim się zdobędzie głuszca! Wahałem się długo, lecz wreszcie oddepeszowałem: „przyjeżdżam".

Z początku wszystko odbywało się dość sprawnie. Nietylko doszedłem po kładkach na podsłuchy, lecz i powróciłem do ogniska, choć noc była ciemna, a kładki śliskie. A trzeba wiedzieć, że straszne były nie same perygrynacje, gdyż nie odczuwałem żadnego bólu w nodze, o ile nie przekroczyłem „kąta rozkiwania", lecz straszny był — lęk przed jakimś nagłym, piekielnym bólem w wypadku, gdyby noga się powinęła... Dlatego też stąpałem z przesadną ostrożnością, posługując się bez przerwy dwiema długiemi tykami...

A nazajutrz?...

Przedświt był szary i dżdżysty. Mszar trwał w martwej ciszy — żaden ptak nie odzywał się — tylko krople deszczu „kapały" monotonnie po kapeluszu i kożuszku. W pewnej chwili prawie jednocześnie posłyszałem trzy głuszce grające. Wybrałem nie tego, który siedział najbliżej, lecz tego, do którego dojście wydawało mi się w półmroku najłatwiejsze. Podchodziłem krokiem kaleki, wahając się przed każdem następnem posunięciem i tracąc nieraz po parę pieśni, zanim zdecydowałem się na krok następny. Naturalnie nie skakałem, lecz robiłem jeden — najwyżej dwa dość powolne kroki, przyczem — wbrew zasadom prawidłowego podchodu — pomagałem sobie rękami, chwytając się za grubsze trzony sosenek i brzózek. Ani na mgnienie nie opuszczała mnie myśl, że mam chorą nogę i że wystarczy jeden fałszywy krok, jedno nieznaczne potknięcie się o korzeń, kamień lub kępę, a przeszyje mnie straszny ból „łamanej" nogi...

A głuszec był coraz bliżej. Śpiew głuszca w takie ranki — mgliste, dżdżyste i ponure — gdy wszelkie inne stworzenia leśne milczą, ziębnięte i zmoknięte, ma czar odrębny, swoisty. Wilgotne powietrze potęguje donośność delikatnych dźwięków i syk szlifowania aż świdruje w uszach, stwarzając złudzienie, że głuszec jest tuż-tuż — może właśnie na tej następnej, pokręconej sośnie. A właśnie mój głuszec nie był jeszcze „tuż-tuż". Wyminąłem ostrożnie dwa czy trzy krzaki łozy, przebrnąłem przez parę okien wody, wywikłałem się z mozołem z pasma suchych trzcin — a głuszec śpiewał jakby wciąż z tej samej odległości. W pewnej chwili dżungla łóz, trzcin i leżaniny urwała się, jak nożem uciął: — miałem przed sobą otwartą przestrzeń czystego mszaru, porosłego tylko karłowatą sosną. Nabrałem otuchy i odwagi: wszak po takiej łatwej przestrzeni można przejść nawet o kulach, a nietylko na sztywnej nodze. Zapomniałem o tej nodze zupełnie i przyśpieszyłem kroku, myśląc tylko o głuszcu. A głuszec być już naprawdę tuż-tuż... Wprawdzie go jeszcze nie widziałem, lecz przeczuwałem jego bliskość, gdyż dźwięki klapania nabrały cichszych, lecz pełniejszych i jakby okrąglejszych tonów, odmiennych od suchych, kościanych dźwięków głuszca, siedzącego daleko... A szlifowanie nietylko wibrowało w uszach: zdawało mi się, że czuję lekkie drżenie gałęzi, na której głuszec siedzi.

Jeszcze dwa kroki... I oto najniespodziewaniej potknąłem się, padając całym ciężarem na chorą nogę... Z przyklęknięciem!... Ból okropny, ból, którego tak się bałem, ból „łamanej" nogi sparaliżował mnie na chwilę. Oczy mimowoli zaćmiły się łzami, a z tak maltretowanego kolana doleciało do mych uszu (kto chce, niech wierzy) wyraźne, przeciągłe trzeszczenie: trrrrrrrr...

Zastygłem — zbolały — w tej pozie półklęczącej. Zapomniałem o głuszcu. Nie słuchałem, czy urwał, czy śpiewa dalej. Myślałem w kółko: co się stało z moją nieszczesną nogą? Czy zdołam nietylko wrócić stąd do ogniska, lecz poprostu powstać z klęczek? Ile czasu upłynie, zanim mój gajowy zwoła ludzi i zanim wyniosą mnie na noszach z tej przeklętej mszaryny?...

Wszystko to trwało parę sekund. Podniosłem oczy i zobaczyłem głuszca: siedział o piętnaście kroków na niskiej sosence, zwrócony do mnie *en trois quarts*. Zmierzyłem się i strzeliłem. Spadł na mech z głuchym odgłosem.

Po strzale zacząłem powoli wyprostowywać się i przekonałem się z radosnem zdumieniem, że nie czuję żadnego bólu. Z jeszcze większą ostrożnością zrobiłem parę kroków... Dobrze... Idąc coraz śmielej, zbliżyłem się do zabitego głuszca. Jest — leży! Zdjąłem kapelusz i otarłem zimny pot z czoła. A potem zacząłem robić różne próby z chorą nogą. Okazało się, że nietylko jest cała, lecz, że zgina się znacznie dalej i znacznie swobodniej, niż pierwej. Potem zjawił się gajowy i podążyliśmy razem do miejsca noclegu.

To moje przyklęknięcie przed głuszcem zastąpiło ze sto chyba seansów masażu. Kolano spuchło wprawdzie, jak bania, lecz „kąt rozkiwania" doszedł do 95 stopni.

Po paru tygodniach mogłem biegać, skakać i tańczyć.

A przy pierwszej okazji dr. M. tak mi powiedział:

— Wygrał pan wielki los na loterji. Bowiem — mogę teraz powiedzieć szczerze — nie bardzo wierzyłem, by noga pańska wróciła do zupełnie normalnego stanu. W najlepszym razie byłby pan skazany na długie miesiące męczącej i skomplikowanej kuracji. Tymczasem głuszec dokonał operacji w ciągu sekundy lepiej, niż zrobiłyby ją w ciągu pół roku całe konsylja chirurgów... Winszuję!

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

JAK ZWABIŁEM ŁOSIA.

Czasem w myślistwie przypadek może mieć ciekawe konsekwencje, ciekawe rozwiązanie i nasuwać ciekawe refleksje. Właśnie o takim fakcie chciałbym pomówić z kolegami myśliwymi.

W tym roku, przed samem rozpoczęciem wabu na łosie w Ordynacji Dawidgródeckiej, musiałem się poddać operacji, która przykuła mnie na czas dłuższy do łoża. Rozumiecie więc sami, co ze mną się działo, kiedy przyszedł ten pierwszy raport, że łosie wab rozpoczęły.

Przecież dotąd corocznie, od pierwszego dnia wabu aż do ostatniego, siedziałem w puszczy, pilnując łosi i gajowych, i zbierając zewsząd raporty, rozkoszowałem się rano i wieczorem życiem puszczy i widokiem łosi.

Już prawie pod koniec września, kiedy od dwóch dni z łóżka wstawałem, uprosiłem mego doktora, aby mnie puścił choć raz w tym roku posłuchać łosi, zupełnie blisko domu, do Otwierzyckiego podleśnictwa.

Naturalnie najbliższa rodzina ochrzciła mnie mianem warjata. Ja jednakże uparłem się i zaraz po południu wyjechałem okutany, jak baba. Nareszcie dobrnąłem do Hrużodów, skąd już łódką spuszczamy się po rzece, mając ostępy łosie po obu jej brzegach.

W pewnem miejscu przybiliśmy do brzegu, skąd kładki ciągnęły się wgłąb puszczy.

Stanąłem na kładce, poszedłem kilkanaście kroków. Nogi odmawiają posłuszeństwa, taki jeszcze słaby jestem. Zrezygnowany więc siadam — nie szkodzi — przecież tu wszędzie naokoło mogą być łosie. Siedzę i snuję smutne myśli, które lapidarnie mówiąc, można tak przetłomaczyć: „Starość — nie radość, ale wielkie świństwo". Tymczasem nastaje jeden z tych przepięknych łosiowych wieczorów, kiedy jest tak cicho, że najmniejszy dźwięk lub szelest się słyszy.

W tem miejscu muszę odbiedz trochę od mego opowiadania dla wyjaśnienia pewnej okoliczności.

Jak wiecie, przy polowaniu na łosie, w czasie wabu, połową szczęścia dla myśliwego jest dobry wabiarz, który, naśladując łosia, to znaczy wabiąc, jak łoś, przez trąbkę i łamiąc odpowiednio gałęzie, udaje buszującego łosia rywala, a łoś na ten wab i trzask podchodzi, aby trafić na myśliwego.

Po wojnie w Polsce słowo „wabiarz" zrobiło się słowem bolesnem, gdyż ci, co byli przed wojną światową, pomarli, lub niezdatni są zupełnie z powodu słabych nóg i głuchoty. Mamy więc dzisiaj łosie, ale niema komu ich wabić.

W Ordynacji Dawidgródeckiej do dzisiejszego dnia wyszkolono tylko dwóch wabiarzy. Czasem i ja za trąbkę brałem gdzieś przy ognisku, a kiedy gajowi twierdzili, że wabiarza nie potrzebuję, że sam przecież najlepiej łosia sobie zwabię, brałem to jako ich pochlebstwo dla swego Ordynata.



Koliba w Karpatach. Fot. K. Landsberg.

Tego wieczora nie miałem przy sobie wabiarza, wziąłem jednak na wszelki wypadek trąbkę.

Dzień płynie ku zachodowi.

Cicho. Wtem w bok od kładek, zdaje mi się, że słyszę rujkę. Bez żadnych miłosnych zwierzeń, bez wabu, buszowania, tak odrazu wesele?... Chyba mi się przewidziało, ale nie — po chwili słyszę znowu rujkę, tym razem dużo głośniejszą i wyraźniejszą. Teraz rozumiem. Jesteś, łajdaku, przy żonie i żaden drugi byk ci nie przeszkadza. A może tak spróbować i udać rywala?

Z praktyki wiem, że od łoszy odwabiać łosia, jest to kunszt nielada, ale wiatr mam dobry, tylko teren bar-

dzo trudny. Wszędzie łoza, a między nią jakby przejścia, na których rośnie stara olsza.

W tej chwili zapominam, że jestem słaby, że przechodziłem operację, rozkrywam się, żeby lepiej słyszeć i być przygotowanym do szybkiego strzału.

Wiem dobrze, że jedynym sposobem, o ile łoś jest przy łoszy, to nie stać na miejscu i wabić, bo z tego nic nie wyjdzie, ale trzeba, naśladując wab łosia, podchodzić pod rujkę.

Jest to rzecz bardzo trudna, gdyż wabić trzeba zupełnie jednostajnie, nie zmieniając tonu i długości dźwięku. Jest to trudnem po równej, twardej ziemi, więc co mówić, gdy odbywa się to na gruncie błotnisto-olchowym.

Ustanawiam następujący porządek: przedemną rusza gajowy, który trzyma w ręku sztucer, ja zaś trzymając lewą ręką za pasek gajowego, w prawej dzierżę trąbkę. Zaczynamy stawianie nogi w takt. On prawą, ja prawą; on lewą, ja lewą — i nachylony w takt wabię. Tak przeszliśmy dwadzieścia pięć kroków. Określam, że łosie są od kładek o jakieś 250 kroków.



Z polowania na dziki w Karpatach.

Stajemy, słuchamy.

Teraz, albo nigdy. Niegdy, bo może łosie, poznawszy nieodpowiedni wab, urządzą trwogę aż las zagrzmi i wtenczas koniec, lub też, nie bardzo zrozumiawszy, ale podejrzewając, że coś jest inaczej, tak cicho się wyniosą, jakby ich tam nigdy nie było.

Słuchamy, po chwili słyszę znów rujkę.

Dobrze — myślę sobie — nie poznały łosie mego wabu, a słyszeć go musiały.

Dalej więc w drogę, co pewien czas zatrzymując się, słuchając.

Przeszliśmy więcej, niż 100 kroków od kładek i znowu stanęliśmy. Poprostu instynktem czuję, że łosie są gdzieś zupełnie blisko. Cisza, nic nie słychać. Zawabiłem więc dwa razy, po chwili trzasnęło coś w łozach o jakieś 100 kroków.

Naturalnie nic widzieć nie mogę. Biorę sztucer od gajowego, kazałem mu się położyć, a sam widzę, że sytuacja wymaga, abym przeszedł jeszcze 10 kroków do grubej olchy, za którą łatwo mi się schować. Tu dopiero mam najtrudniejsze zadanie, gdyż muszę trzymać sztucer w lewej ręce, a w prawej trąbkę i, zupełnie do ziemi nachylony, iść do olchy, wabiąc.

Jeszcze brak mi trzech kroków, aby dojść do olchy, gdy raptem jakby piorun we mnie trzasł. Słyszę najwyraźniej wab. To znaczy, że łoś żonę opuszcza i idzie na mój wab, na bój z domniemanym rywalem. Jednakże dochodzę do olchy, a łoś wabiąc idzie na mnie.

Stoję, trzymam sztucer, odbezpieczam.

Po chwili słyszę, że łoś stanął i zamilkł. Wiem co trzeba zrobić. Trzeba sztucer odstawić, wziąć trąbkę prawą ręką, lewą przykryć dobrze szeroki otwór, nachylić się do samej ziemi i dwa razy zawabić. Ale tu najmniejszy fałsz, to koniec.

Zawabiłem, łoś natychmiast odpowiada, idzie.

Widzę go w tej samej prawie chwili, jako mglisty cień w łozie, lecz naraz stanął i nasłuchuje.

Ja mam już znowu sztucer w ręku. Niech tylko zrobi pięć kroków, to wyjdzie mi z łozy na wysoki olchowy las i wtenczas, jaki by nie był, chyba nie puszczę mego pierwszego zwabionego przez siebie łosia.

Łoś stoi nie dalej, jak 40 kroków w łozie, ale strzelać z powodu ściany łozy nie mogę. Po chwili zaczyna się oglądać w tę stronę, skąd przyszedł.

Źle — myślę sobie. — Jeśli zawróci, to już go więcej nie ujrzę. Trzeba jeszcze zawabić dwa razy, ale jak to sztucer odłożyć, chwycić trąbkę, nachylić się do samej ziemi, zawabić i znowu stanąć ze sztucerem w ręku?...

Ale niema innej rady, odchylam pomalutku swoją postać tak, aby od strony łosia zakryła mnie gruba olcha. Wabię cichutko, zupełnie przy samej ziemi dwa razy, łoś momentalnie odpowiada. Już jestem ze sztucerem w ręku w chwili, gdy z łozy na 30 kroków łoś wyłazi na wysoki las olchowy.

Strzelam — łoś pada.

Skończyło się — jestem już przy łosiu. Ma 2/3 pasemka.

Dopiero po chwili przyszła reakcja, czuję, że muszę usiąść, nogi się uginają, a cały jestem mokry. Przybiega gajowy, zupełnie wytrącony z równowagi. Rozumiem go, gdyż każdy poleszuk jest myśliwym i tak samo jak ja każdą sekundę z tych łowów odczuł.

Klaruje mi coś bez końca, ale moje dumy daleko odbiegły.

Przeżywam w duszy to, co przed chwilą widziałem i słyszałem. W tem wszystkiem dominuje nie świadomość: „zabiłem łosia", lecz „z w a b i ł e m ł o s i a".

To nowe uczucie, ta duma, że zrobiłem coś, o czem nie marzyłem, że od dzisiejszego dnia w myślistwie doszedłem do tej możliwej dla mnie radości, iż odkrywa się przede mną najwyższa rozkosz myśliwska, która doprowadza mnie do stanu szału.

Więc mogę zwabić łosia. Ale może to tylko raz się udało. Tu znowu zwątpienia wchodzą do duszy, ale niepotrzebnie, gdyż — w kilka dni później drugiego sobie zwabiłem.

Dziś pewny jestem, że łosia zwabić mogę.

Dziś, Panowie myśliwi, dostałem nową rangę po zdaniu leśnej matury. Dziś jestem skończonym wabiarzem.

Czy w Polsce, między Wami myśliwymi, którzy od lat kilku co roku na łosie jeździcie, nie znajdzie się ktoś, kto pójdzie w moje ślady?

Tylko wtenczas ten zrozumie, co ja, przywabiwszy łosia, przeżyłem.

KAROL RADZIWIŁŁ

A DZIEŃ BYŁ ŚW. HUBERTA.

W chłodnej mgle blade liście, liście, liście
ścielą się cicho, wolno, uroczyście.
Pożegnanie — czekanie
na przyjście.
Stary, zgarbiony Świątek na polanie
jeszcze niezdarniej schylił się ku sośnie.
Słucha — drewniane rozgarnął ramiona,
patrzy — drżą zmarzłe jarzębiny grona:
jakiś niepokój w leśnej duszy rośnie.

Szmer przeszeleściał i rozchwiał się biegiem —
kory obręczą odprysnął za siebie —
w mchu się udźwięcznił — tętentem się zbliża —
rozdarł gałęzie gałęźmi splątane!
— Strwożony rogacz wybiegł na polanę
z głową, znaczoną jasnym znakiem krzyża.

MARJA LASKOWSKA

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Następny dzień, poświęcony poszukiwaniom świeżych tropów caribou lub przynajmniej jelenia, spełza bezowocnie. Nocą wiatr tropy pozamiatał. Stary nie daje za wygraną i jest przekonany, że w ciągu tego dnia, który nas dzieli od jego *home*, uda się jeszcze spotkanie z „mule deerem". W tym celu, zamiast iść ścieżyną w kierunku zagrody, skręcamy na południe i lasem już, bezdrożem, wolno posuwamy się, nakładając nieco drogi, ku znanym Larsenowi miejscom, gdzie najczęściej można te cervidy spotkać.

Idziemy, prowadząc wierzchowce nasze za uzdy, pilnie wpatrując się i poszukując śladów jelenia, które już w nieznacznej odległości od myśliwni Norwega podejmujemy. Są gęsto pomieszane ze śladami racic bydlęcych, ale jednak widoczne i dobrze odciśnięte na śniegu i ziemi.

Wyławiamy z tropów ślad kapitalnego jelenia i, idąc za nim gąszczami, wkrótce już dostrzegliśmy, jak szaropłowa jego suknia mignęła w zaroślach. Ole zostawia mnie z końmi, zalecając, abym bacznie śledził wąską, powstałą dzięki wichrom lukę, którą w tem miejscu stworzyło kilka przewróconych jodeł, przygniatając młodniak.

Przywiązałem konie do drzewa, siadłem na kłodzie i, wpatrując się w zastygły w bezruchu i ciszy las, czekam, obserwując migającą w haszczach, czerwoną kurtę swego przyjaciela. Ole okrąża ślad i odcina wierzchołek góry, w kierunku której jeleń, posuwając się, miał wagą. Już dawno straciłem z oczu sylwetę Larsena, słyszę tylko zrzadka trzask gałęzi i cichy chrzęst śniegu. Brzęknie wędzidłem uwiązany koń, zaskrzypi skóra siodeł, zresztą — zupełna, martwa cisza. Każdy szelest, każdy odgłos elektryzuje mnie. Ściskam mocniej sztucer, gotowy do strzału. Upływa w ten sposób sporo czasu, gdy nagle, ściśle w miejscu, które mi Norweg wskazał, ukazuje się krzaczasta głowa jelenia, który lekko, jak cień, sunął wśród plątaniny śniegiem oprószonych świerczków.

Szybko złożywszy się, strzeliłem, ale byk prysnął i znikł, zanim zarepetowałem broń po raz drugi. Farby na tropach nie znalazłem. Łatwo było z tego wywnioskować, że jeleń uszedł, ciesząc się najlepszem zdrowiem.

Ole pudło moje zwalił na karb niepowodzeń swojej żony, której widocznie niesądzonem było delektować się świeżym jelenim stekiem.

— *Yes, boy!* Dobrze przynajmniej, żeś to ty go spudłował. Bo czyż jesteś w stanie wyobrazić sobie, jaki cyrk zrobiliby ze mnie i jaką uciechę miałoby moje potomstwo z patłatym Linedem na czele, gdyby się dowiedzieli przypadkiem, że to *daddy* (ojciec) okazał się takim zręcznym strzelcem. Tobie to się wybaczy. Zresztą zrehabilituje cię poroże barana i tłomok niedźwiedziej skóry.

Zaproponowałem Norwegowi, aby, zamiast wracać z powrotem na dróżkę, dalej tropić chybionego jelenia, w tej nadziei, że może uda nam się spotkać, jeżeli nie tego, który, jak ślady wskazywały, w dzikim popłochu uszedł, to przynajmniej innego.

Posuwamy się konno lasem, bacznie śledząc i upatrując nowych tropów. Ale dnia tego las niczem nas nie obdarzył, odbierając zupełnie nikłą jeszcze nadzieję zdobycia pieczystego dla pani Larsenowej. O zmierzchu dopiero dodał nam ducha i zrekompensował dzisiejsze niepowodzenia i mitręgę widok migocących w oddali światełek zagrody Larsenowskiej i nadzieja rychłego gruntownego odpoczynku.

Powitani szczekaniem kilku kudłatych, tęgich o szerokich piersiach, psów, zbliżamy się z naszym taborem ku farmie nad Roe Lake.

Główna siedziba Larsena, „ranch" nad jeziorem, na rozległej równinie, położonej u wylotu licznych wąwozów, oparty był o podnóże wysokich, porosłych świerkiem i jodłą gór. Obszerne schrony i zagrody dla bydła, z brusów postawione budynki gospodarcze, nieodmienny garaż, piętrowy dom mieszkalny, kryty blachą, tworzyły całość, która swoim ładem i celowością rozmieszczenia zabudowań wyróżniała się bardzo korzystnie od dotychczas widzianych przeze mnie budowli gospodarskich tego typu. Każdy szczegół udowadniał, że właściciel i twórca tego osiedla dokładnie i ściśle obmyślił plany i dążenia swoje, a mieszkając i gospodarując tu, stworzył placówkę, która mogła służyć za wzór każdej innej, w najdrobniejszych nawet elementach odpowiadając wszelkim potrzebom i zamierzeniom gospodarzy.



Znów dopisało powodzenie...

Rosłe, doskonale utrzymane bydło znajdowało się w zagrodach pod gołem niebem. Wokół tych *corral-lów* błądziły jeszcze swobodnie stada, spędzone przez konnych pasterzy Norwega z głębi gór ku podnóżom, pokrytą pożywnemi mchami i zeschłą, letnią, nieskoszoną trawą. Jakże wymownie świadczyło to o przewidującem i doświadczonem w tych sprawach kierownictwie. Ileż bowiem tysięcy bydła ginie wśród „canyonów" i krętych wąwozów, do których chroni się ono podczas śnieżnych zawieruch i ostrych zim.

Przezorny „boss" nie zniósłby widoku skostniałych i wycieńczonych z zimna i głodu bydląt, raczej do kościotrupów podobnych, niż do żyjących zwierząt, znaczących swoją drogę ku dolinom dziesiątkami, a nawet setkami padliny. Wszystko tu jest na zimę przygotowane. Na długo jeszcze przed tym okresem służba folwarczna wraz z członkami rodziny Larsena uwija się tygodniami i spędza stada z zakamarków górskich ku fermie. Teraz jest tu wszystko „all right". Niekiedy tylko jeszcze, dla rozprężenia się, dla ruchu wprost i dla uspokojenia swego gospodarskiego sumienia, Ole konno z „cowboyami" rusza w góry, aby ewentualnie odszukać jakieś nieliczne stadko zaszytych gdzieś w wertepach maruderów.

Ole nie uznaje skondesowanego mleka w domu. A magister filozofji *(bacheler of philosophy)*, panna Inga, która jeszcze przed chwilą unosiła się nad realizmem Hamsuna, zachwycała się jego kultem do przyrody, dla której dramaty Ibsena stanowiły niewyczerpany temat do dyskusji, potulnie, ale i ochoczo ubiera się w swój płaszcz „laboratoryjny", aby wraz z metysem Timem i płowowłosym bratem Karolem wywozić na taczkach nawóz, lub udać się na wieczorny udój. A po udoju sonaty Griega miały w niej na-

prawdę inteligentną interpretatorkę. Tak, robota musi iść, ale nie przeszkadza ona bynajmniej rozrywkom kulturalnym.

Rodzinę mego przyjaciela tworzą: tęga, rosła, rumiana, siwowłosa, wciąż zajęta pani Larsen; długonogi, zręczny, wiecznie się o coś z siostrą sprzeczający Karol; smukła, jasnowłosa, zielonooka Inga i ulubieniec całej rodziny, czupurny, o zawsze zmierzwionej i skudłaconej głowie dwunastoletni Lined. Codzienie rano udaje się on konno do oddalonej o trzy mile szkoły, aby po obiedzie, wraz ze wszystkimi, pomagać w gospodarstwie. Jego praca jesienią i zimą polega wyłącznie na zwożeniu na saneczkach, przy pomocy ułożonych do tego psów, smolnych, pachnących żywicą szczap, przy których tak doskonale się gwarzy wokół płonącego kominka.

Oprócz nich jest metys, Tim Haller; żonaty indjanin Parker ze swoją *skwaw* (żoną) i z rudelkiem umorusanych, czarnookich indjaniąt; dryblasowaty, w zawsze rozchełstanej koszuli, rudowłosy irlandczyk Roy i czerwieniejący gębą jak ćwik, łysy bez reszty, jak kafel, o białych, jak cukier, zębach i śmiejących się, rozlanych oczach — wesołek całego tego grona, koncertmistrz-gitarzysta Sam.



Lined pracuje.

Następuje krótkie przywitanie.

— Przedstawiam wam *polish big game hunter* (myśliwy na grubą zwierzynę), słynnego ze zręczności wędkarza, dzięki któremu jeleń, którego „miałem na widelcu", a chciałem go wam w prezencie zamiast *kandys* (cukierków) przywieźć, zdrów i cały hula sobie, wydziwiając celność tego łowcy i ostrzegając swoich towarzyszy, że ewentualnie moja wyśmiana czerwona kurta jest groźniejsza, niż europejski *big gache* (dużego kalibru) Mauzer i „khaki mackinaws" przedstawionego wam pana, którego widok tutaj zawdzięczacie wyłącznie uprzejmości i rzadko spotykanej grzeczności „*payk*-ów". Bo trzeba wam wiedzieć, że gentleman ten o włos tylko nie stał się z myśliwego smacznym kąskiem ryb z nad Beaver Lake.

Dogryza mi w ten sposób Ole, przedstawiając zgromadzonej na przywitanie „bossa" rodzinie i służbie. Ładnie mnie stary obmalował! Ja, chcąc nie chcąc, z powodu trudności językowych, oszołomiony zgiełkiem licznego grona, nawet odciąć się nie potrafiłem i tylko głupkowato uśmiechałem się, przyrzekając sobie, że nie puszczę tego staremu płazem i przy najbliższej okazji odpłacę mu to z nawiązką.

Rozsiadamy się wokół płonącego kominka. Zapach ponczu, tym razem naprawdę po mistrzowsku przyrządzonego przez panią Larsen, ciepło i przytulność komnaty, dostatek, przezierający z każdego kąta, po życiu, dotychczas na dziko prowadzonem, ostro i przyjemnie wyczuć się daje.

Lined, późniejszy mój przyjaciel, zdrów, jak młody byczek, śliczny chłopak, którego sympatję z miejsca sobie pozyskałem, staje się moim „adjutantem", ani na krok mnie przez cały czas pobytu nie odstępując. Z żalem tylko i niechęcią udawał się do szkoły, bo tych kilka tam spędzonych godzin uważał, jak mi to sam wyznał, za bezpowrotnie dla siebie stracone. W Kanadzie dzieci tylko pięć dni w tygodniu zatrudnione są w szkole, świętują soboty i niedziele, a ponieważ przyjazd mój nastąpił w piątek, sobotni dzień wystarczył do zawarcia przyjaźni na „śmierć i życie". Stałem się jego *boy friend*. Należy tu dodać, że w Kanadzie każde osiedle, które może zgłosić ośmioro dzieci w wieku szkolnym, ma prawo domagać się stworzenia dla nich szkoły.

Męczy mnie bezradność, z jaką zniosłem „prezentację" Larsena wobec rodziny. Pod wpływem gorącego, pachnącego ponczu język mój cokolwiek się rozluźnia, nabieram większej odwagi i straszliwą gwarą — oby mi to nieboszczyk Szekspir wybaczył — usiłuję Larsenowi odpłacić pięknem za nadobne. Opowiadam niektóre szczegóły z naszej wspólnej wycieczki, między innemi chwilę, jak przy podchodzie niedźwiedzia Ole zaplątał się w gałęziach wiatrołomu i tylko dzięki mej pomocy wyswobodzony, mógł tutaj tyle o mnie naopowiadać, w tak niepochlebnem świetle mnie przedstawiając. Ale trzeba było widzieć minę i pokraczne ruchy uwięzionego wśród gałęzi wiatrołomów „daddy" (ojca), jak, gramoląc się, wyczyniał nieporadne ruchy nogami wyżej głowy i, szepcąc: „*Mat, I am in trap*" (jestem w pułapce), błagał mnie „ze łzami w oczach" o wyzwolenie.

Nie trzeba mieć wielkiej fantazji, aby sobie wyobrazić ten widok, lub też, kiedy raz, potknąwszy się, zjechał żlebem na „siadolu", znacznie nadwyrężając swoje ineksprymable, które ja później musiałem zszywać na „daddy", leżącym nosem w dół, z właściwą sobie zręcznością, zszywając je razem z bielizną.

Nie wiem, czy język, jakim te rzeczy opowiadałem, czy gestykulacja, plastycznie wyobrażająca nieporadne ruchy Larsena w „pułapce", dość że opowiadanie moje cieszyło się takiem powodzeniem, że zgromadzeni domownicy z samym „bossem" na czele pokładali się ze śmiechu.

— Tak, teraz to „boss" jest zuch. Trzeba było widzieć jego minę, jak w błyskawicznem tempie sunął żlebem w dół, a co do mojego pudła — *I am sorry* — kilkanaście godzin temu zwalił je przecież Ole na karb pecha swojej żony, za co ja przecież nie ponoszę winy.

— A rybka? — odcina się Ole.

— Phi, ryba! U nas w Polsce „koza nie bydło, a ryba nie mięso". I zapewniam cię, że, gdybym wiedział, że masz tak miłą rodzinę, jeleń ten byłby z pewnością mój. A nazwiesz mnie starym, dziurawym kaloszem, jeżeli w ciągu najbliższych dni nie udowodnię ci tego!

— All right — zgadza się Ole.

Na swoich szlakach w Cariboo spotykałem kilka odmian drobniejszych cervidów. Mule deer *(Odocoileus hemionus)* i ten sam gatunek o nieco słabszych wieńcach, trudny dla laika do odróżnienia, pod nazwą *Odocoileus Richardsoni;* jeleń kolumbijski „*cost deer*" *(Odocoileus columbianus)*, o niewielkich łyżkach, którego wieniec, znacznie mniejszy od wieńca „mule deer", ma tendencję do zaokrąglania się, tworząc rodzaj obręczy nad głową. Rozwidlenie jego rzadko przekracza pięć do sześciu odnóg.

Niezmiernie ciekawą odmianę stanowią jelenie białoogoniaste, „*white tailled*" *(Odocoileus wirginiensis)*. Cervidy te nazwę swoją zawdzięczają temu, że ogon ich, puszysty i długi, od strony wewnętrznej jest śnieżnej białości. Zaniepokojone czemś lub wietrzące, mają te prześliczne zwierzęta zwyczaj podnosić pionowo ogon, bielejąc nim w gąszczu. Odmiana ta przebywa wyłącznie w lasach. Wieniec białoogoniastego, aczkolwiek nie może być porównany z kapitalnym wieńcem „mule deer", stanowi jednak, w odróżnieniu od poroża jelenia kolumbijskiego, trofeum nie do pogardze-

nia. Odmianę „wirginiensis" spotkać można najczęściej w lesistych dolinach wschodniej części lądu stałego Brytyjskiej Kolumbji. A na zachodzie żyznej Kootney po dziś dzień znajduje się jeszcze w dużych rudlach.

Poprzednie dwie odmiany zamieszkują górzyste okolice i podnóża Gór Skalistych, Kaskadowych i Selkirk. Zagadką dla mnie jest fakt, że ogromnie rozpowszechniony na wyspie Vancouver jeleń kolumbijski, mimo nadzwyczaj dogodnych warunków bytowania, obfitości paszy i łagodnego klimatu, masą swoją ustępuje znacznie identycznemu gatunkowi na lądzie stałym. „Cost deer" lądu stałego, ważony przeze mnie, często przekraczał wagę stu osiemdziesięciu funtów, podczas gdy na wyspie Vancouver nie osiągał nigdy wagi ponad sto dwadzieścia funtów.

Przejąłem na siebie obowiązek, który musiałem wypełnić. Lined i Karol mieli mi w tem pomódz. Po nocy, przespanej na wygodnem, szerokiem łożu w gościnnym pokoju, zacząłem przemyśliwać i konspiracyjnie naradzać się z Karolem nad sposobem dotrzymania pochopnie danej obietnicy. Tu znów dopisało mi powodzenie, bo już w niedzielę, w niespełna dwie godziny po opuszczeniu „ranchu" z młodym Larsenem, podszedłem z koniem na bliską metę dobrego jelenia, który, gładko strzelony, padł w ogniu. Przy pomocy Karola załadowałem byka na konia i tak krocząc, tryumfalnie przybyliśmy do „ranchu". Pozbyłem się zdecydowanie groźby nazwania mnie przez „bossa" „starym wydeptanym kaloszem", na który to epitet Larsen ostrzył sobie zęby przez całą sobotę, dając mi przedsmak tego, co mnie może oczekiwać.

Muszę tu zaznaczyć, że w Brytyjskiej Kolumbji, w odróżnieniu od niektórych innych prowincyj kanadyjskich, polowanie w niedzielę nie jest wzbronione. W prowincjach wschodnich, jak Nowa Szkocja, Quebeck i t. d. nietylko polowanie jest w niedzielę wzbronione. Przypominam sobie, że kiedy z końcem lipca ubiegłego roku wylądowałem w Halifaxie w niedzielę, spragniony, chciałem kupić trochę świeżych owoców. Widziało się ich masy w wystawach barów portowych, które jedyne są tego dnia otwarte. Jakąż miałem głupią i zakłopotaną minę, gdy zakupiona przeze mnie torba brzoskwiń musiała być na miejscu w barze skonsumowana, ponieważ sprzedawca żadną miarą nie pozwolił mi wynieść kupionych owoców. W niedzielę wszelkie imprezy, czy to rozrywkowe, czy nawet sportowe, są wzbronione, a zakaz ten jest ściśle przestrzegany. Zachodnie prowincje, zaludnione przeważnie przez anglosasów, rządzą się innem prawem.

(C. d. n.). M. G.

PASORZYT TCHAWICZNY (SYNGAMUS TRACHEALIS) U BAŻANTÓW.

(ODPOWIEDŹ P. DR. JANOWI SOKOŁOWSKIEMU).

W bażantarni, przydzielonej do mojej administracji w roku bieżącym, zauważyłem na wiosnę, że młode bażanty zaczynają chorować całemi masami. — Choroba nosiła charakter epidemiczny. Objawy choroby były następujące: młode chore bażanty robią się smutne, mało ruchliwe, ospałe, piórka nastroszone, stale wyciągają szyję, głowy podnoszą wysoko, zarzucają w tył i wogóle wykonują ruchy głowy, jakby były udławione.

Tutejszy bażantarnik poinformował mnie o nawiedzeniu bażantarni przez powyższą chorobę już od kilku lat. Sposób walki z pasorzytem, prowadzony poprzednio, polegał na przecieraniu tchawicy chorego ptaka zapomocą piórka gołębiego, umoczonego w nafcie. Chore bażanty brano do ręki, otwierano dziób i cieniutkie piórko zwilżone naftą wprowadzało się do tchawicy, obracało się go tam i wyjmowało z powrotem. Na wyjętym po dokonaniu operacji piórku wyciągało się z tchawicy kilka egzemplarzy s y n g a m u s t r a c h e a l i s. Przy ostrożnem wykonywaniu takich zabiegów część chorych bażancików po upływie kilku dni faktycznie przychodziła do zdrowia. Bażancikom, które nie wyzdrowiały po zastosowaniu powyższego zabiegu, stosowane było przecieranie po raz drugi, a czasem i kilkakrotnie.

Trzeba zaznaczyć, że pewien procent chorych bażantów nie znosił przecierania i ginął.

W Nr. 20 „Łowca Polskiego" z dn. 10 lipca r. b. przeczytałem artykuł dr. Jana Sokołowskiego p. t. „Choroby młodych bażantów".

W artykule tym p. dr. J. Sokołowski udziela cennych rad i sposobów leczenia chorych bażantów, i jednocześnie zwraca się z prośbą do hodowców bażantów o nadsyłanie padłych egzemplarzy w celu badania choroby. Korzystając z uprzejmości p. dr. Sokołowskiego, posłałem padłego bażanta, prosząc o zbadanie choroby i o radę. Po kilku dniach otrzymałem odpowiedź, która stwierdziła chorobę S y n g a m u s t r a c h e a l i s, oraz bardzo cenne dla mnie wskazówki i t r z y t o r e b k i z p r o s z k a m i t r z e c h g a t u n k ó w, oznaczonych numerami I, II, III, spreparowanemi przez p. dr. Sokołowskiego.

Otrzymane proszki stosowałem w/g zaleceń p. doktora w sposób następujący: chore bażanty wsadzałem do drewnianej skrzynki, nakrywałem je rzadkiem, nieco przeświecającem płótnem i poprzez płótno przesypywałem (przecierałem) proszek Nr. I. Zabieg ten, wraz z trzymaniem chorych bażantów w skrzyni z rozpylonym proszkiem, trwał 1 godz. 20 minut. Później bażanty wsadzałem do woljery i trzymałem je w ciągu dwóch dni. W usposobieniu i wyglądzie chorych bażantów nie zaszła żadna zmiana. Sądziłem, że proszek, jak przypuszczał p. dr. Sokołowski, okazał się za słaby. Trzeciego dnia do tychże bażantów zastosowałem proszek Nr. II w ten sam sposób, jak i poprzednio. Proszek ten na drugi dzień dał już widoczne rezultaty. Z dwunastu chorych bażantów, którym robiono zabiegi lecznicze, cztery sztuki czuły się znacznie lepiej, a na trzeci dzień jeszcze pięć bażantów podniosło głowy i nabrało żywszych ruchów. Do pozostałych trzech, dzięki niecierpliwości bażantarnika, zastosowano przecieranie. Muszę zaznaczyć, że wszystkie dwanaście bażantów wyzdrowiało.

Proszek Nr. III stosowałem w sposób wyżej opisany do nowej partji chorych bażantów w liczbie ośmiu. Po upływie trzech dni po zabiegu pięć bażantów wyzdrowiało, a co do pozostałych trzech zastosowano przecieranie tchawicy. Z ośmiu chorych bażantów także żaden nie padł.

A więc rezultat stosowania preparatów p. dr. Jana Sokołowskiego otrzymałem dobry, za co składam Mu serdeczne podziękowanie i na przyszły rok nieomieszkam zwrócić się z prośbą o dalsze wskazówki i większą ilość cennych środków leczniczych.

INŻ. LEŚNIK STEFAN KORZON.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 14 PAŹDZIERNIKA 1936 R.

Obecni P.P.: Przewodniczący Wacław Szperling, Maurycy Hr. Potocki, Red. Walenty Garczyński, Prof. Józef Gieysztor, Dr. Ignacy Grymiński, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, Inż. Karol Rotkel, Inż. Henryk Sosonko, Dyr. Andrzej Śliwiński, Inż. Kazimierz Tołłoczko, Mec. Dr. Aleksander Tallen - Wilczewski; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 15 września r. b. przyjęto bez poprawek.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych otrzymało od rządu Rzeszy Niemieckiej zaproszenie do wzięcia przez Polskę udziału w Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej, która zorganizowana zostanie we wrześniu i październiku roku 1937 pod Berlinem, oraz do udziału delegatów Polski w uroczystościach Św. Huberta, które odbędą się w dniach od 1 — 4 listopada r. b. w Brunszwiku, a w czasie których zapaść mają uchwały, dotyczące szczegółów przyszłorocznej wystawy.

P. Inż. Knothe otrzymał w tej sprawie pismo od sekretarjatu generalnego Conseil International de la Chasse, zachęcające do udziału łowiectwa polskiego w Międzynarodowej Wystawie i uroczystościach brunszwickich.

Po dyskusji, w której wypowiedzieli się P.P. Inż. Knothe, Hr. Potocki i Szperling, postanowiono zwołać specjalne posiedzenie Wydziału Wykonawczego po zreferowaniu tej sprawy P. Prezesowi Gen. Sosnkowskiemu przez P. Inż. Knothego i po zajęciu stanowiska przez P. Prezesa.

Wydział Wykonawczy, na wniosek Oddziału Związku na województwo białostockie, mianował Delegatami Związku:

na powiat i miasto Białystok —
Stetkiewicza Olgierda, prokuratora s. o. w Białymstoku;
na powiat Łomża —
Machalicę Jerzego, inż. — Kisielnica, Stacja Doświadczalna,
Matuszewskiego Jana, kpt. — Łomża, 18 Dywizja Piechoty,
Sadowskiego Stanisława — Łomża, Wydział Powiatowy i
Szumskiego Kazimierza, nadl. — Łomża, Nadleśnictwo L. P.;
na powiat Szczuczyn —
Szellera Tadeusza — Grajewo;
na powiat Wysokie Maz. —
Jakubowskiego Wiktora — Czyżew, Siedliska.

Wydział Wykonawczy przyjął i postanowił ogłosić w zwykłym trybie następujące kandydatury na Delegatów Związku:

Joniec Ignacy, nadl. — Jędrzejów, Nadleśnictwo L. P.,
Medoń Władysław, nadl. — Wodzisław, Nadleśnictwo Dóbr Lanckorońskich,
Różycki Jerzy — Mierzwin, Opatkowice i
Wiltowski Stefan, nadl. — Matyczów, Nadleśnictwo Dóbr Krzelów —
wszyscy na powiat Jędrzejów woj. kieleckiego;
Wielopolski hr. Zygmunt — Chroberz —
na powiat Pińczów woj. kielckiego;
Obniski Marjan Hubert, inż. — Izbice n/Wieprzem, Tarnogóra — na powiat Krasnystaw woj. lubelskiego;
Biernacki Jan — Ostrowy Warszawskie, Imielno — na powiat Kutno woj. warszawskiego;
Płoski Aleksander — Rypin, Sokołowo — na powiat Rypin, woj. warszawskiego.

Przyjęto do wiadomości rezygnację p. Leona Koryzny z mandatu Delegata Związku na powiat Kutno woj. warszawskiego, postanawiając wyrazić p. Koryznie podziękowanie za dotychczasową działalność.

Po rozpatrzeniu wniosków o odznaczenia, Wydział Wykonawczy nadał:

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej

Edmundowi Kononowiczowi, podkomisarzowi, komendantowi powiatowemu policji państwowej we Włodawie — za energiczne i skuteczne zwalczanie przestępstw łowieckich;

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej

Janowi Misiukiewiczowi, st. posterunkowemu, komendantowi posterunku policji państwowej w Piątnicy pow. łomżyńskiego, woj. białostockiego — za energiczną walkę z kłusownikami i wnykarzami;

Wincentemu Szulejce, posterunkowemu policji państwowej w Zaborowie pow. warszawskiego — za energiczną walkę z kłusownikami.

Pismo Delegata Związku na powiat Dzisna woj. wileńskiego w sprawie bezkarności przestępstw łowieckich — postanowiono przekazać Towarzystwu Łowieckiemu Ziem Wschodnich, jako Odziałowi Związku, dla podjęcia odpowiednich kroków.

P. Red. Garczyński zreferował opracowany przez siebie projekt zmian statutu wzorowego o podatku od prawa polowania. Projekt ten przekazano specjalnej komisji w osobach P.P.: Dyr. Śliwińskiego, Dr. Grymińskiego i Red. Garczyńskiego, z prośbą o przedstawienie na następnem posiedzeniu Wydziału Wykonawczego.

P.Krzywoszewski w rozmowie z P. Red. Garczyńskim wysunął projekt zorganizowania w porozumieniu z Towarzystwem Zachęty do Sztuk Pięknych wystawy obrazów myśliwskich.

Postanowiono zaprosić P. Krzywoszewskiego na następne posiedzenie Wydziału Wykonawczego celem omówienia szczegółów tego projektu.

PRZEZ MIKROFON.

HUBERTOWSKIE AUDYCJE.

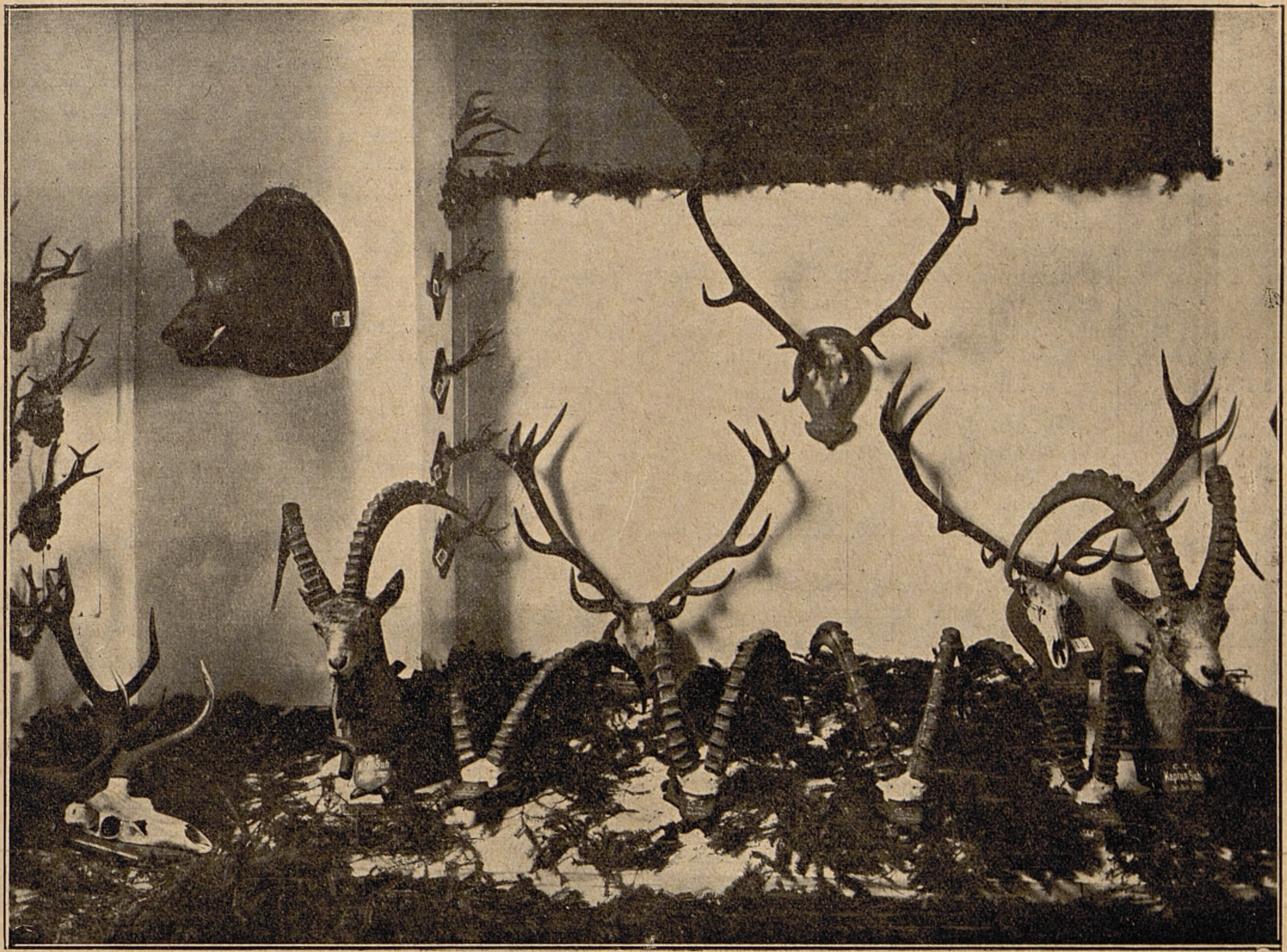
3. X. b. r. w dniu Św. Huberta zostanie nadana z rozgłośni warszawskiej Polskiego Radja o godzinie 18.40 5-minutowa wesoła audycja dla myśliwych.

Dnia następnego, t. j. 4 b. m., w rozgłośniach prowincjonalnych będzie wygłoszony o godzinie 15.10 monolog myśliwego.

JELENIE PRZED MIKROFONEM.

Minął wrzesień, a z nim okres godowy księcia kniei pomorskiej — jelenia. Ażeby umożliwić radjosłuchaczom zapoznanie się z bogatą skalą głosu tego wspaniałego zwierza, Rozgłośnia Pomorska przeprowadziła w ubiegłym roku niezmiernie ciekawą, eksperymentalną dla radjofonji transmisję z rykowiska jeleni z lasów pomorskich. Audycja ta znalazła żywy oddźwięk wśród szerokich kół radjosłuchaczy i doznała życzliwego przyjęcia. Pomimo pewne niedociągnięcia, mające źródło w niezmiernie ciężkich warunkach, w jakich dokonano transmisji, audycja podobała się znawcom myśliwym i przedstawicielom prasy fachowej. Utrwalona na taśmie Still'a i powtórzona, zainteresowała radjofonję zagraniczną. Między innemi jedna ze stacji amerykańskich zwróciła się do Polskiego Radja z prośbą o wypożyczenie taśmy.

Zainteresowanie to skłoniło Rozgłośnię do podjęcia próby ponownego, opartego na doświadczeniach zeszłorocznych, nagrania. Celem przeprowadzenia transmisji i utrwalenia jej na płyty stacja warszawska stawiła do dyspozycji Rozgłośni Pomorskiej samochód transmisyjny, wyposażony w aparaturę do nagrywania na płyty. Dzięki uprzejmości p. Romana Kentzera z Pruskołąki, z którym Rozgłośnia Pomorska weszła w kontakt za pośrednictwem organizatora transmisji p. Józefa Wysockiego, nagrano z końcem września w łowisku p. Kentzera w Pruskołące rykowisko jeleni w formie audycji, w której efekty akustyczne — głosy lasu, ryki jeleni — i wyjaśnienia sprawozdawcy radjowego p. J. Wysockiego stanowią zwartą i sharmonizowaną całość. Dołożono wszelkich starań, by uniknąć niedociągnięć poprzedniej transmisji. Technicznie czyste i nienaganne nagranie, wspaniały we wszystkich tonacjach wiernie uchwycony i utrwalony ryk jelenia i ciekawa akcja, ilustrowana słowem sprawozdawcy, składają się przy wspaniałej pogodzie wrześniowej nocy, w którą audycję nagrano, na pewnego rodzaju teatr wyobraźni. Mogą dzięki niemu uczestniczyć słuchacze w tem wspaniałem widowisku leśnem, jakiem są gody jelenie, okres miłości i walki króla puszczy pomorskiej. Audycja utrwalona na płyty znajdzie się niebawem w programie ogólnopolskim. O terminie dokładnym powiadomieni zostaną radjosłuchacze w osobnym komunikacie.



Z Wystawy Łowieckiej we Lwowie. Wieńce jeleni — p. Garapichowej. Trofea egzotyczne — J. hr. Wodzickiego.

KLASYFIKACJA EKSPONATÓW.

MEDALE, NADANE PRZEZ M. T. Ł.

Trofea zgłoszone do IV pokazu są oznaczone rzymską czwórką (IV) i będą premjowane przez P. Zw. St. Łow.

I cyfra = Nr katalogu, II w nawiasie = Nr. stoiska wystawcy.

JELENIE KARPACKIE.

Złoty medal od 190 pkt.

Nr. 915 (89) punktów 192.437, 20 IX 1934, Rytro pow. Nowy Sącz, woj. Kraków. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Adam hr. Stadnicki. — IV.

Nr. 1099 (111) pkt. 192.120, 1929 Perehińsko, powiat Dolina. woj. Stanisławów. Właśc. trofeum i myśliwy Ludgarda Garapich, hodowca Gr. kat. Metrop.

Nr. 758 (68) punktów 191.977, 21 IX 1935, Starzawa, pow. Dobromil, woj. Lwów. Właśc. trofeum i myśliwy Władysław Belina Prażmowski, hodowca Lasy Państw. IV.

Nr. 625 (65) punktów 191.240, 29 IX 1929, Klimiec, pow. Stryj woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Emil Jędrzejowski, hodowca Fundacja Skarbkowska. — IV.

Srebrny medal od 180 pkt.

Nr. 501 (50) punktów 189.302, 3 X 1935. Nadleśnictwo Hryniawa, powiat Kosów, woj. Stanisławów. Właściciel i myśliwy Inż. Tadeusz Marcinkiewicz, hodowca Lasy Państw. — IV.

Nr. 1097 (111) punktów 188.477, 1926, Majdan, pow. Drohobycz, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Ludgarda Garapich, hodowca Br. Liebig.

Nr. 193 (20) punktów 187.440, 27 IX 1928, Skole, rewir Korostów, pow. Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca, Ryszard bar. Groedel.

Nr. 738 (66) punktów 187.135, 27 IX 1934, Polanica, pow. Dolina, woj. Stanisławów. Właściciel i myśliwy Jerzy hr. Potocki, hodowca Lasy Państw. — IV

Nr. 102 (15) punktów 186.375, 29 IX 1934, Czarna Rika, rewir Perehińsko, pow. Dolina ,woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Ludomir Cieński, hodowca Metr. gr. kat. — IV.

Nr. 307 (28) punktów 185.997, 9 X 1930, Rafajłowa, pow. Nadwórna, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy inż. Roman Jurkiewicz, hodowca Lasy Państwowe.

Nr. 117 (16) punktów 185.860 30 IX 1929, Polanica, pow. Nadwórna, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Stanisław Cieński, hodowca Lasy Państwowe.

Nr. 67 (12) punktów 185.610, 22 IX 1934, Jawornik, pow. Kosów, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Otton br. Brückman, hodowca Lasy Państw. — IV.

Nr. 118 (16) punktów 184.81, 2 X 1933, Komańcza, pow. Lesko, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Stanisław Cieński, hodowca Stanisław hr. Potocki.

Nr. 191 (20) punktów 183.512, 28 IX 1934, Skole, powiat Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel, myśliwy i hodowca Ryszard bar. Groedel. — IV.

Nr.192 (20) punktów 182.675, 19 IX 1931, Butywla, Skole, pow. Stryj, woj. Ctanisławów. Właściciel, myśliwy Ryszard bar. Groedel.

Nr. 419 (44) punktów 181.437, 29 IX 1933, Czywczyn, pow. Kosów, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Dr. Bogusław Longchamps, hodowca Fundacja Skarbkowska.

Nr. 306 (28) punktów 180.420. 7 X 1927, Rafajłowa, pow. Nadwórna, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Roman Jurkiewicz, hodowca Lasy Państw.

Bronzowy medal od 170 pkt.

Nr. 1070 (104) punktów 179.362, 24 IX 1926, Żabie, pow. Kosów, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Zbigniew Winiarski, hodowca Fundacja Skarbkowska.

Nr. 548 (56) punktów 179.800, 23 IX 1926, Jasień, pow. Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Ludwik hr. Mycielski, hodowca Lasy Państwowe.

Nr. 100 (15) punktów 177.485, 28 IX 1929, Pod Popadją, rewir Żabie, pow. Kosów, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Ludomir Cieński. hodowca Fundacja Skarbkowska.

Nr. 412 (39) punktów 177.200, 5 X 1935, Lesko, rewir Lesko, pow. Lesko, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Stanisław hr. Krasicki, hodowca August hr. Krasicki. IV.

Nr. 1098 (111) punktów 176.672, 21 IX 1928, Butywla, rewir Skole, pow. Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Ludgarda Garapich, hodowca Bracia Groedel.

Nr. 417 (42) punktów 175.420, 2 X 1934, Sałatruk, rewir Rafajłowa, pow. Nadwórna, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Wilhelm Lederer, hodowca Lasy Państwowe. IV.

Nr. 161 (19) punktów 172.507, 24 IX 1934, Sołotwina Mizuńska, pow. Dolina, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Generał Kazimierz Fabrycy, hodowca Lasy Państw. IV.

Nr. 194 (20) punktów 171.000, 1929, Korostów, rewir Skole, pow. Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Ryszard bar. Groedel, hodowca Bracia Groedel.

JELENIE NIZINNE.

Złoty medal od 180 pkt.

Nr. 763 (9) punktów 199,20, 12 IX 1928, Kobiór, Pszczyna, Śląsk, ks. Jan H. Pszczyński.

Nr. 762 (69) punktów 194.89, 25 IX 1928, Kobiór, Pszczyna, Śląsk, ks. Jan H. Pszczyński.

Bez Nru punktów 182.227, Tarnobrzeg, powiat Tarnobrzeg, woj. Lwów. Właściciel trofeum Artur hr. Tarnowski.

Nr. 322 (31) punktów 182.115, 1 X 1934, Pińczów, rewir Białowieża, woj. Białystok. Właściciel trofeum i myśliwy Wacław Karwacki, hodowca Lasy Państwowe. IV.

Srebrny medal od 170 pkt.

Nr. 901 (85) punktów 175,9, 16 IX 1933, Zbieżno, rewir Brodnica, woj. Pomorze. Właściciel i myśliwy Feliks Soboczyński, hodowca Lasy Państwowe.

Nr. 1104 (115) punktów 175.825, 29 IX 1933, Brodnica, woj. Pomorze. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Bolesław Kiszkiel, hodowca Lasy Państwowe.

Nr. 1113 (117) punktów 173.927, 1933, Sowiniec, woj. Poznań. Właściciel trofeum Łowiec Wielkopolski, myśliwy Włodzimierz Błąk jun.

Nr. 323 (31) punktów 171.465, 21 IX 1935, Ruda, woj. Pomorze. Właściciel trofeum i myśliwy Wacław Karwacki, hodowca Lasy Państwowe IV.

Nr. 1114 (117) punktów 170.587, 1933, Miłosław, woj. Poznań. Właściciel trofeum Łowiec Wielkopolski, myśliwy Władysław Esden Tempski.

Bronzowy medal od 160 pkt.

Nr. 949 (92) punktów 169,35, 6 IX 1935, Andrzejów, pow. Słonim, woj. Nowogródek. Właściciel trofeum i myśliwy Marja hr. Stecka. IV.

Punktów 169.802, Dzików, pow. Tarnobrzeg, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy A. hr. Tarnowski.

Punktów 168.08. 23 IX 1934, Dzików-Buda, pow. Tarnobrzeg, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy A. hr. Tarnowski. IV.

Nr. 1121 (117) punktów 164.95, 1934, Jaszków, woj. Poznań. Właściciel trofeum Łowiec Wielkopolski, myśliwy Jan hr. Szołdrski. IV.

Punktów 163.895, 10 X 1933, Rogowskie Poręby. Właściciel trofeum i myśliwy Paweł hr. Potocki.

Nr. 84 (14) punktów 163.536, 2 X 1928, Goraj, pow. Czarnków, woj. Poznań. Właścicel trofeum i myśliwy Konstanty Chłapowski.

Nr. 952 (92) punktów 161.502, 25 IX 1933, Andrzejów, pow. Słonim, woj. Nowogródek. Właściciel trofeum Marja hr. Stecka, myśliwy J. hr. Stecki.

SARNY.

Złoty medal od 150 pkt.

Punktów 190,625, 3 VII 1936, Dzików, rewir Stale, powiat Tarnobrzeg, woj. Lwów. Właściciel trofeum i hodowca Zdzisław hr. Tarnowski, myśliwy Andrzej ks. Lubomirski. IV.

Nr. 730 (66) punktów 186.250, 9 VIII 1932, Brzyska Wola, pow. Łańcut, woj. Lwów. Właściciel, myśliwy i hodowca Alfred hr. Potocki.

Nr. 122 (16) punktów 175.375, 15 VII 1933, Pieniaki, pow. Brody, woj. Tarnopol. Właściciel trofeum i hodowca Stanisław Cieński, myśliwy A. bar. Heydel.

Nr. 510 (51) punktów 170.437, 30 VI 1933, Karów, pow. Rawa-Ruska, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy ś. p. Kazimierz Marmoross, hodowca Marmoross Zdzisław.

Nr. 324 (31) punktów 164.—, 30 V 1936, Paśmiechy, pow. Pińczów, woj. Kielce. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Karwacki Wacław. IV.

Nr. 480 (47) punktów 156.375 4 VII 1936, Horodenka, rew. Czahor, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Stanisław Lazarewicz, hodowca Jerzy Rafał ks. Lubomirski. IV.

Nr. 321 (30) punktów 155.75, 1 IX 1930, Grabówka, pow. Kałusz, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum, myśliwy Franciszek Kalkus.

Nr. 728 (66) punktów 152.125, 20 VIII 1931, Brzyska Wola, pow. Łańcut, woj. Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Alfred hr. Potocki.

Nr. 910 (88) punktów 151.625, 8 VIII 1934, Stanisławówka, pow. Żółkiew, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Tadeusz Sroczyński, hodowca Eustachy bar. Horoch. IV.

Nr. 618 (65f) punktów 150.625, 15 VII 1933, Smorze, rewir Klimiec, pow. Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Emil Jędrzejowski, hodowca Fundacja Skarbkowska.

Srebrny medal od 130 pkt.

Nr. 1063 (124) punktów 147.625, 25 VII 1936, Stubno, pow. Przemyśl, woj. Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Ludwik Myszkowski. IV.

Nr. 123 (16) punktów 146.700, 20 VII 1933, Pieniaki, pow. Brody, woj. Tarnopol. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Stanisław Cieński.

Nr. 1164 (125) punktów 145.875, 31 VII 1930, Zaborówek, pow. Bydgoszcz, woj. Pomorskie. Właściciel trofeum i myśliwy G. Wodziński.

Nr. 511 (51) punktów 145.250, 30 VI 1933, Karów, pow. Rawa Ruska, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Kazimierz Marmoross jun., hodowca Zdzisław Marmoross.

Nr. 262 (26) punktów 144.810, 29 VI 1933, Babica, pow. Rzeszów, woj. Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Joachim Jarochowski.

Nr. 1053 (99) punktów 144.625, 2 VIII 1933, Rokitnica, pow. Jarosław, woj. Lwów. Właściciel trofeum i hodowca St. Uznański, myśliwy St. Kopeć.

Nr. 782 (73) punktów 144.437, 3 VIII 1935, Słupie, rewir Sieradz, pow. Sandomierz, woj. Kielce. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Maciej Ks. Radziwiłł. IV.

Nr. 1096 (110) punktów 143.525, 10 VIII 1935, Czywczyn, pow. Kosów, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Oskar Friser, hodowca Gmina Kosów. IV.

Nr. 957 (94) punktów 141.500, 19 V 1933, Dziewiętniki, pow. Bóbrka, woj. Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Jan hr. Szeptycki.

Nr. 1161 (123) punktów 141.000, 10 VII 1935, Zbylitowska Góra, pow. Tarnów, woj. Kraków. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Inż. Franciszek Żaba jun. IV.

Nr. 259 (24) punktów 140.811, 1933, Cewków, pow. Lubaczów woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Andrzej Hławiczka, hodowca Agenor hr. Gołuchowski.

Nr. 261 (26) punktów 140.500, 4 VIII 1928, Babica, pow. Rzeszów, woj. Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Joachim Jarochowski.

Nr. 509 (51) punktów 139.925, 17 VI 1933, Karów, pow. Rawa Ruska, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy ś. p. Kazimierz Marmoross, hodowca Zdzisław Marmoross.

Nr. 1148 (121) punktów 138.75, 12 VII 1933, Połoniczna, pow. Kamionka, woj. Tarnopol. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Franciszek hr. Zamoyski, hodowca S. A. „Oikos".

Nr. 453 (45) punktów 138.375, 22 VIII 1936, Stroniowice, pow. Przemyśl, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Jerzy Ks. Lubomirski, hodowca Anna Ks. Lubomirska. IV.

Na 1149 (121) punktów 138.187. Właściciel trofeum i myśliwy Inż. Franciszek hr. Zamoyski, hodowca S. A. „Oikos".

Nr. 923 (89) punktów 137.750, 12 VIII 1933, Nawojowa Hryszczów, pow. Nowy Sącz, woj. Kraków. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Adam hr. Stadnicki.

Nr. 481 (47) punktów 137.625, 12 VI 1935, Schodnica, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Stanisław Lazarewicz, hodowca Eugenjusz Ks. Lubomirski. IV.

Punktów 137.500, 12 VI 1935, Spała-Gacona, woj. Kielce. Właściciel trofeum i myśliwy Pan Prezydent Rzeczypospolitej, hodowca Lasy Państwowe. IV.

Nr. 784 (73) punktów 137.500, 6 VIII 1936, Słupia, rewir Si-

tradz, pow. Sandomierz, woj. Kielce. Właściciel trofeum i hodowca Maciej Ks. Radziwiłł, myśliwy Jan Dembiński. IV.

Nr. 476 (46) punktów 137.06, 7 VIII 1927, Chodorów, pow. Bóbrka, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Stefan Ks. Lubomirski, hodowca Eugenjusz Ks. Lubomirski.

Nr. 787 (73) punktów 136.25, 31 VII 1934, Sydzyna, pow. Stopnica, woj. Kielce. Właściciel trofeum i myśliwy Ludwik Dembiński, hodowca Maciej Ks. Radziwiłł. IV.

Nr. 1091 (107) punktów 135.775, 16 VII 1932, Ostapie, pow. Skałat, woj. Tarnopol. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Aleksander hr. Zaleski.

Nr. 75 (12) punktów 135.625, 21 VII 1932, Zawidów, pow. Horochów, woj. Wołyńskie. Właściciel trofeum i myśliwy St. Biliński, hodowca Skarb Państwa.

Nr. 438 (45) punktów 134.373, 23 VII 1927, Murowiska, pow. Przemyśl, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Jerzy Ks. Lubomirski, hodowca Anna Ks. Lubomirska.

Nr. 426 (44) punktów 133.51, 20 VIII 1926, Sądowa Wisznia, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Bogusław Longchamps, hodowca Krzysztof Mars.

Nr. 1112 (116) punktów 133.—, 4 VIII 1936, Chodorów, woj. Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Eugenjusz Ks. Lubomirski. IV.

Nr. 628 (65g) punktów 131.750, 2 VI 1936, Brody, woj. Tarnopol. Właściciel trofeum i myśliwy Dr. Walerjan Madejewski, hodowca S. A. Brody. IV.

Nr. 434 (45) punktów 131.450, 25 VI 1936, Konopacz, pow. Przemyśl, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Jerzy Ks. Lubomirski, hodowca Anna Ks. Lubomirska. IV.

Nr. 512 (51) punktów 131,425, 10 X 1935, Karów, pow. Rawa Ruska, woj. Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Zdzisław Marmoross. IV.

Nr. 801 (77) punktów 130.437, 8 VIII 1935, Puszcza Białowieska. Właściciel trofeum i myśliwy Prof. Dr. E. Schechtel hodowca Lasy Państwowe. IV.

Nr. 791 (73) punktów 130.237, 8 VIII 1931, Sydzyna, pow Stopnica, woj. Kielce. Właściciel, myśliwy i hodowca Maciej Ks. Radziwiłł.

Nr. 802 (77) punktów 130.062, 8 VIII 1935, Puszcza Białowieska. Właściciel trofeum i myśliwy Prof. Dr. Edward Schechtel, hodowca Lasy Państwowe. IV.

Bronzowy medal od 120 pkt.

Nr. 263 (26) punktów 129.937, 27 VII 1931, Babica, pow. Rzeszów, woj. Lwów. Właściciel trofeum Joachim Jarochowski, myśliwy i hodowca Wiktor Rada. IV.

Nr. 672 (650) punktów 129.250, 8 VI 1935, Klimiec Ozero, pow. Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Prof. Rudolf Wacek, hodowca Fundacja Skarbkowska. IV.

Nr. 441 (45) punktów 128.375 21 IX 1927, Kaniatyn, pow. Przemyśl. woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Jerzy ks Lubomirski, hodowca Anna ks. Lubomirska.

Nr. 454 (45) punktów 127.275, 23 VI 1935, Kaniatyn, pow. Przemyśl, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Jerzy Ks. Lubomirski, hodowca Anna Ks. Lubomirska.

Nr. 142 (19) punktów 125.250, 25 VII 1930, Białowieża, pow. Bielsk, woj. Białystok. Właściciel trofeum i myśliwy Gen. Kazimierz Fabrycy.

Nr. 783 (73) punktów 123.375, 7 VIII 1936, Sydzyna, pow. Stopnica, woj. Kielce. Właściciel trofeum i myśliwy Jan Dembiński, hodowca Maciej Ks. Radziwiłł. IV.

Nr. 1052 (98) punktów 123.125, 28 VI 1936, Maniawa, pow. Nadwórna, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Mgr. Ernest Urbanowski, hodowca Polsko-Szwajcarska Spółka Leśna Sołotwina. IV.

Nr. 671 (65) punktów 121.90, 15 VIII 1936, Klimiec, pow. Stryj, woj. Stanisławów. Właściciel trofeum i myśliwy Prof. Rudolf Wacek, hodowca Fundacja Skarbk. IV.

Nr. 630 (65g) punktów 121.625, 8 VIII 1936, Milatycze, pow. i woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Dr. Walerjan Madejewski, hodowca Alfred hr. Potocki. IV.

Nr. 731 (66) punktów 120.822, 30 VII 1928, Stare Sioło, pow. Bóbrka, woj Lwów. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Alfred hr. Potocki.

Nr. 631 (65g) punktów 120.625, 7 VIII 1936, Siedliska, pow. i woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy dr. Walerjan Madejewski, hodowca Alfred hr. Potocki. IV.

Nr. 825 (81) punktów 120.250, 28 VI 1936, Lubień Mały, pow. Gródek, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy Dr. Edward Skowroński, hoodwca Gmina Lubień Mały. IV.

Nr. 479 (46) punktów 120.240, 7 VIII 1927, Chodorów, pow. Bóbrka, woj. Lwów. Właściciel trofeum i myśliwy J. Sc. Wedderburm, hodowca Eugeniusz Ks. Lubomirski.

Nr. 729 (66) punktów 120.234, 1932, Brzyska Wola, pow. Łańcut, woj. Lwów. Właściciel trofeum i hodowca Alfred hr. Potocki, myśliwy Roman Ks. Czartoryski.

Nr. 909 (88) punktów 120.231, 1932, Wychylówka, pow. Mielec, woj. Kraków. Właśc. trofeum i myśliwy inż. Tadeusz Sroczyński, hodowca Dr. Karol Sroczyński.

Nr. 923 (89) punktów 120.228, 12 VIII 1933, Najowa, pow. Nowy Sącz, woj. Kraków. Właściciel trofeum, myśliwy i hodowca Adam hr. Stadnicki.

Nr. 928 (89) punktów 120.227, 4 VI 1936, Rytro, pow. Nowy Sącz, woj. Kraków. Właściciel trofeum i hodowca Adam hr. Stadnicki, myśliwy Józef hr. Stadnicki. IV.

Nr. 1058 (102), punktów 120,217, 4 VI 1936, Dawodów Czerepin, pow. i woj. Lwów. Właściciel trofeum Z. Brezany, myśliwy Inż. Bronisław Welczer, hodowca Konwent OO. Dominikanów. IV.

Nr. 545 (55) punktów 120.210, 1935, Rudniki, p. Śniatyn, woj. Stanisławów. Właściciel i hodowca Dr. Michał br. Moysa Rosochacki, myśliwy Jan Szczepański.

(Dok. nast.)

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

DEUTSCHE JAGD.

Nr. 17/1936, str. 321. *J. Wirtz „Szkody z powdu dzików i lisów w budżecie przyrody".* — Autor opowiada się jako zdecydowany przeciwnik przesadnej opinji o szkodach, wyrządzanych przez dziki w polach uprawnych,, a przez lisy — w gospodarstwie łowieckiem. Dziki napastują kartofliska oraz pola owsiane i pszeniczne w okresie formowania się ziarna. Ale pamiętać należy, że dziki spożywają ziemniaki przedewszystkiem w stanie rozkładu. Właśnie w ich poszukiwaniu przerywają one duże połacie kartofliska, pozostawiając nietknięte ziemniaki zdrowe. Tem się też tłomaczy chętny powrót dzików do zeszłorocznych pól ziemniaczanych, gdzie znajdują w ziemi stare, zgniłe kartofle. Zapobiedz szkodom w kartoflisku można przez rozsypanie w pobliżu, w miejscach zacisznych, starych, zepsutych i przemarzłych ziemniaków, które odorem swoim znęcą dziki. Wskazanem jest również, dla ochrony na wiosnę pól, zasadzanych ziemniakami, używanie wyłącznie sadzeniaków zupełnie zdrowych, bez zapachu rozkładu, i z daniem pierwszeństwa ziemniakom czerwonym lub niebieskim przed białemi i żółtemi, jako trwalszym. Po lecie mokrem należy ze zdwojoną starannością usuwać z pola ziemniaki gnijące, będące przynętą dla dzików, pozostawione w ziemi stworzyć mogą niebezpieczeństwo ściągnięcia dzików także na wiosnę roku przyszłego, tembardziej, że przy gnijących ziemniakach gromadzą się robaki, żuki i różne owady, stanowiące również nęcące pożywienie dla dzików. Jeżeli chodzi o ochronę przed dzikami pól zbożowych, to i tu zalecone być może rozrzucanie opodal zepsutych ziemniaków, obierzyn, kuchennych odpadków z buraków i innych jarzyn. Pamiętać przytem należy, że chodzi tu tylko o czas ograniczony okresem formowania się ziarna, gdyż po całkowitem wykształceniu i stwardnieniu ziarna dziki zbożem przestają się interesować. Dziki wreszcie wyrządzają czasami szkodę, skopując łąki lub koniczyska w poszukiwaniu znajdujących się tam myszy lub żab. Otóż w tych wypadkach autor zaleca oszczędzanie lisów. Lis żywi się również myszami i żabami, ale czyni to bez uszkodzenia łąk i pól, a pola pozbawione myszy i żab przestaną interesować dziki.

Co się tyczy lisa, to autor jest zdania, że powszechna wśród myśliwych opinja o jego nadzwyczajnej szkodliwości dla drobnej zwierzyny nie jest oparta na poważnych badaniach, a wynika w najlepszym wypadku z obserwacyj powierzchownych, najczęściej zaś — z bezkrytycznego powtarzania zdania współtowarzyszy polowań. Autor zalicza do bajek twierdzenie o dziesiątkowaniu przez lisy stanu zajęcy i obiecuje konia z rzędem temu, kto naocznie stwierdzi upolowanie przez lisa zdrowego, wyrośniętego zająca. Opinję tę potwierdza zachowanie się zajęcy w obecności lisa, niezdradzające bynajmniej

ZAWODY STRZELECKO-MYŚLIWSKIE.

Dnia 8 listopada 1936 r. na strzelnicy w Szczęśliwicach od godz. 9 rano odbędą się zawody strzelecko - myśliwskie z okazji święta patrona myśliwych, św. Huberta.

Program zawodów przewiduje następujące konkurencje o nagrody honorowe:

Mś r. 2 (rzutki) — 50 rzutk. z 10 mtr. z pozycji myśliwskiej;

Mk 3 (mały dzik) — strzelanie kulowe, odległość, 50 mtr.;

Kbk S. 4a poz. leżąca — odległość 50 mtr. kbk sportowy kal. 22, tarcza olimpijska.

Kbk S. — odległość 100 mtr.

Zapisy przyjmuje Kancelarja Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego, Nowy Świat 35 m. 17.

jakiegokolwiek strachu przed tym rzekomo niebezpiecznym wrogiem. Spotkanie z lisem jest niewątpliwie groźne dla gniazdującego na ziemi ptactwa, ale o ileż niebezpieczniejszymi dla nich są pastuszkowie, amatorzy jajecznicy, a nawet psy i koty. Jadłospis lisa, ustalony dzięki systematycznym badaniom zawartości żołądka i kiszek, jest zresztą tak urozmaicony, że uzupełnianie go z trudem zdobywaną zwierzyną skrzydlatą przypisać należy raczej przypadkowi. Jedłospis ten stanowią, przedewszystkiem myszy i szczury, a następnie żaby, dżdżownice, ślimaki, koniki polne, chrząszcze wszelakie, gąsienice, larwy owadów, muchy, wreszcie jagody, opadki owocowe i t. p. Pozatem lis spożywa wszystkie zwierzęta padłe, przez co pełni poważną rolę sanitarjusza leśnego i polnego, zapobiegając szerzeniu się chorób zaraźliwych.

J. G.

KŁUSOWNICTWO.

CZŁONEK RADY GMINNEJ I DELEGAT DO SEJMIKU, ORAZ DWAJ SOŁTYSI — KŁUSOWNIKAMI.

Dnia 21-go grudnia ub. r. przysięgły strażnik łowiecki, Oskar Hirsz, będący na służbie w dobrach Zabłudów, pow. białostockiego, zauważył o godz. 7-ej rano we wsi Rudnicy, w której także mieszka w dworskim domu, Antoniego Chylewskiego, sołtysa sąsiedniej wsi Zajezierce, w chwili, gdy wchodził do mieszkania sołtysa wsi Rudnica, Stanisława Kozłowskiego. Chylewskiemu, który nie posiada pozwolenia na broń, wystawała z pod kożucha lufa strzelby. Ponieważ było wiadomem, że niektórzy mieszkańcy wsi Rudnica, położonej w obrębie lasów zabłudowskich, zajmują się kłusownictwem i powszechnie znane są nazwiska tych kłusowników, więc Hirsz, chąc ich złapać na gorącym uczynku, nie spłoszył Chylewskiego, lecz udał się wprost do lasu, nasłuchując, tembardziej, że znane mu były główne miejsca ich polowań.

Pierwszy strzał padł około godz. 12-ej. Przed 2-gą padł drugi strzał ,już w innym oddziale, a potem około godz. 2-ej dwa strzały raz po raz. Hirsz, dążąc za polowaniem kłusowników, doszedł do rozstajnych dróg i tam schował się w gąszczu, gdyż strzały padły o jakieś 150 metr. od tego miejsca i kłusownicy musieli przejść tędy, o ile chcieli dostać się na drogę. Wkrótce też ujrzał Hirsz zbliżających się ku sobie kłusowników.

Pierwszy szedł Antoni Jaworowski ze strzelbą w ręku. Jaworowski jest członkiem Rady Gminnej w Zabłudowie i delegatem do Sejmiku, a mieszkańcem wsi Rudnica. Za nim postępował sołtys Chylewski, także niosąc w ręku strzelbę, a za nim sołtys wsi Rudnica, bez strzelby, ale niosąc na plecach ubitego kozła. Gdy kłusownicy podeszli do Hirsza na jakieś 20—25 kroków, ten wyskoczył z ukrycia i, mierząc w nich ze strzelby, zawołał: „stój, bo będę strzelał!" Na to Jaworowski i Chylewski momentalnie skoczyli w bok i znikli w gąszczu, a Kozłowski stanął bezradnie. Gdy jednak usłyszał wołanie Jaworowskiego, rzucił kozła na ziemię i zniknął w gąszczach z przeciwnej strony drogi. Hirsz zostawił kozła na śniegu i poszedł po świadków - gajowych, dla skonstatowania śladów zajścia. Drugi gajowy, który był w pobliżu, śledząc przyczynę strzałów w swoim obchodzie, widział uciekających po linji 2 osobników, których scharakteryzował jako Jaworowskiego i Chylewskiego.

Pomimo długiego zwlekania w dochodzeniu ze strony policji i odgrażania się Jaworowskiego, że nic mu nie będzie, gdyż był jakoby w inkryminowanym czasie w Białymstoku, Sąd Grodzki skazał wszystkich 3 kłusowników na 500.—, wzgl. 300.— i 200.— zł. kary. Sąd Okręgowy w drodze apelacji potwierdził wyrok Sądu Grodzkiego. Dalszej apelacji nie było i wyrok się uprawomocnił.

Nadmienić wypada, że podczas bytności mojej u p. Referenta Starostwa w tej sprawie, gdzie też zastałem kom. posterunku policji z Zabłudowa, otrzymałem informacje, że „Sąd takich spraw, niepotwierdzonych przez świadków, nie uznaje". Podnieść jednak muszę nadzwyczaj bezstronne, rzeczowe i drobiazgowe dochodzenie Sędziego Grodzkiego podczas rozprawy sądowej.

Jaworowski szukał obrony przez świadków, którzy zeznawali częściowo fałszywie, a pozatem przez oskarżenie Hirsza o kłusownictwo na terenie włościańskim wsi Rudnica, na którym sam nie miał żadnych uprawnień, a wyrażające się w tem, że Hirsz podobno postrzelił tam zająca. Sąd to oskarżenie oddalił. Jest nadzieja, że Starostwo ze swej strony ukarze administracyjnie tych kłusowników, odbierze Jaworowskiemu teren myśliwski i broń, a może wyciągnie i wnioski administracyjne w kwestji sprawowania przez nich urzędów w Gminie Zabłudów.

JÓZEF MANTEUFFEL
Pełnomocnik Dóbr Zabłudów.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

W Nadniemeńskiem Kółku Łowieckiem na pierwszem zbiorowem polowaniu w dniach 16 i 17 października, na terenach siemiatyckich, w 17 i 22 strzelby ubito: 1 jelenia, 5 dzików, 3 rogacze, 7 lisów, 3 cietrzewie, 3 słonki, 1 jarząbka, 1 bażanta, 23 kuropatwy i 77 zajęcy.

— U pp. Michałów Bonieckich w maj. Potworów pow. radomskiego polowano na kuropatwy dnia 9 i 10 września r. b. w 7 strzelb oraz pół dnia 11. 9. r. b. w trzy strzelby.

Udział w polowaniu wzięli: Hr. Andrzejowa Łosiowa, Hr. Andrzej i Adam Łoś, hr. Edward Plater jr., pp. Adam Grodziński, Stanisław Boniecki oraz częściowo gospodarz, prowadzący polowanie.

Opolowano sztrajfami i pędzeniami tereny własne i dzierżawione włościańskie przy fatalnej pogodzie (deszcz i wichura).

Ubito: kuropatw 302, przepiórek 4, kaczek 3, gołębia dzikiego 1, królików 25. Razem 335 szt. Największy rozkład miał hr. E. Plater jr. (84 szt.).

Stan kuropatw znacznie słabszy w stosunku do ub. roku.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa